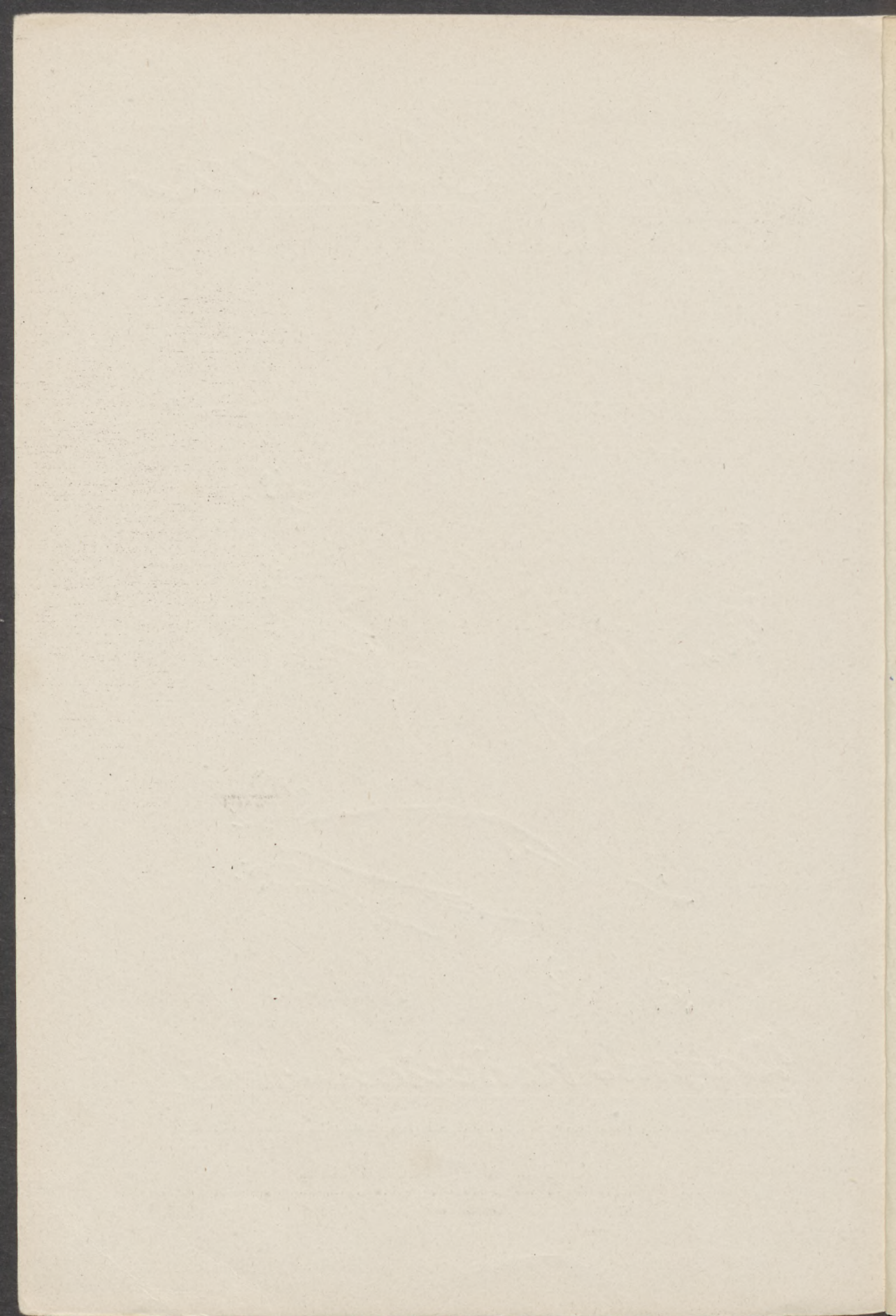


Eryk Zieliński

Na szlaku
KRESOWEJ



Rzym - Kwiecień - 1946



Na szlaku Kresowej

Numer 4 (33)

K r e s o w a D y w i z j a P i e c h o t y
Włochy • Kwiecień • 1946

K 126/45
1971



Redaktor: *Witold Zahorski*

Adres Redakcji: C. M. F. Polish Forces 62

Drukarnia Poliglotta C. di M. - Via Bonchi Vecchi, 12
Roma

Wilno-Lwów

.... Wszystkie narody, wszystkie państwa mają swoje kresy. Nieszczęśliwy i zmienny jest los grodów i siół kresowych! Gdy wichur się zrywa, wstrząsa posadami przede wszystkim ich budowli. Gdy chmura się zbierze, ostry grad siecze przede wszystkim właśnie ziem kresowych łąny. Gdy grzmia pioruny, przede wszystkim tu w wieżycy i w domy uderzają...

.... Gdy w roku 1918-1919 Wilno znalazło się w rękach bolszewików, dzieliło mnie od niego 300 kilometrów i siły niemieckie i bolszewickie. Miasto mego dzieciństwa; kocham je i tęskniłem doń latami całymi; los Wilna — to był we mnie ten węzeł psychiczny i mus, który ciągnął koniecznością. Na wielkim ekranie duszy dalekie Wilno malowało się różową plamą, na północ od wielkiej czerwonej plamy — walczącego Lwowa, gdzie mus nakazywał postać posiłki.

Jesteśmy w styczniu 1919 roku. Nie zatrzymując się na wszystkich szczegółach planowania, zacząłem, że z jednej strony musiałem się zajmować jako Naczelný Wódz działaniami wojennymi pod Lwowem, i tam było zaangażowane cztery piąte mojej duszy i cztery piąte sił mojej armii. Wilno jednak nie dawało mi o sobie zapomnieć. Było jakby konkurencją między Wilnem a Lwowem, ale to nie mogło zajmować mego umysłu, była to walka uczuć, nie pojęć jako wodza, pojęć realnych. Z jednej strony sielanka uczuć i wspomnień w stosunku do dalekiego i niepewnego Wilna, z drugiej twar-da rzeczywistość, wołająca pod Lwów.

.... Dnia 19-go kwietnia jestem w Lidzie — Wszystko w porządku; tor naprawiony, łączniki utrzymane, robota sprawdzona. Obiaduję właśnie u Suwalczan, święcących swe zwycięstwa, aż wpada ostatkiem tchu oficer od Beliny: „Wilno wzięte!” Wilno, ukochane miasto, jest moje!

.... Tworząc koncepcję Wileńską, czułem, że tworzę rzecz piękną.

Do żadnego miasta, zdobytego przeze mnie, nie wjeżdżałem z takim uczuciem, jak do Wilna.

.... Można pracować opierając się na ludzie. Kocha on ojczyznę i właśnie dzięki patriotyzmowi ludzi prostych w chwilach groźnych 1919 r. nie zaszły żadne rozruchy bolszewickie. Można polegać na ludzie. Robotnicy i włościanie byli żołnierzami niepodległości i wolności. Oto dlaczego bolszewizm nie ma dzisiaj żadnych widoków na przyjęcie się w Polsce.

Józef Piłsudski

Program demokracji polskiej

W swej walce ze stronnictwami polskimi, reprezentującymi olbrzymią większość narodu, propaganda sowiecka szarżuje wciąż hasłem demokracji, zarzucając reakcyjność wszystkim Polakom, stojącym na gruncie prawdziwej niezależności. Uważamy tedy za konieczne sprecyzować wyraźnie, jak pojmujemy demokrację, wszystko bowiem wskazuje na to, że między pojęciem demokracji zachodniej, a analogicznym pojęciem w Europie Wschodniej istnieje zasadnicza rozbieżność.

Według Narodu Polskiego:

- Demokracja, to pozostawiona najszerszym warstwom narodu swoboda wyboru ustroju społeczno-politycznego oraz światopoglądu, z którego on wypływa.
- Demokracja, to wolność określona trafnie w Karcie Atlantyckiej, jako wolność od strachu i od głodu, wolność osobista, wolność słowa i przekonań.
- Demokracja, to równe prawa dla wszystkich grup politycznych, czy to zachowawczych, czy radykalno-postępowych, o ile nie nadużywają one swobody zrzeszenia się dla szerzenia anarchii, czy też narzucania innym swych poglądów siłą.
- Demokracja, to rządy większości, wyłonione na drodze swobodnych wyborów odbywających się przez pięcioprzymiotnikowe powszechne głosowanie.
- Demokracja, to rząd prawa, czyli praworządność obowiązująca zarówno rządzących jak rządzonych, a zabezpieczająca tak wolność obywatelską, jak autorytet władzy.
- Demokracja, to sprawiedliwość, oparta na zbiorowym poczuciu słuszności przyznającym każdej jednostce, warstwie pracującej i narodowi prawo do warunków życia zapewniających im nie tylko materialną egzystencję, ale i wszechstronny rozwój ich możliwości twórczych.
- Demokracja, to system zbiorowego bezpieczeństwa, w którym wszystkie państwa wyrzekają się użycia siły i zobowiązują się podporządkować decyzjom międzynarodowych organów, wyływających z obiektywnych norm prawa międzynarodowego.
- Demokracja, to uznanie i zabezpieczenie równych praw mniejszych i większych narodów, aby ukrócić raz na zawsze dążenia mocarstw do hegemonii nad innymi narodami i do podziału świata na strefy wpływów.

W swych stosunkach z Rosją Naród Polski nie żąda niczego więcej, jak poszanowania przez nią tych podstawowych zasad demokracji, o których ocalenie i zabezpieczenie walczyły przez pięć i pół lat wszystkie miłujące wolność narody.

Zamykając dziś szczytny okres walki konspiracyjnej polskich stronnictw demokratycznych o te zasady demokracji, Rada Jedności Narodowej chce pozostawić po sobie — w oparciu o nie — program demokracji polskiej.

(Z uchwał Rady Jedności Narodowej)

Analiza umowy w Jałcie w sprawach Dalekiego Wschodu

I

W rocznicę konferencji jałtańskiej ujawniono tajny układ, podpisany przez Stalina, Roosevelta i Churchilla 11 lutego 1945 r.

W układzie tym powiedziano między innymi:

„Związek Sowiecki wejdzie do wojny przeciw Japonii pod warunkiem, że... wyspy Kurylskie zostaną oddane (*handed over*) Związkowi Sowieckiemu... Głowy Trzech Wielkich Mocarstw zgodziły się, że powyższe żądania Związku Sowieckiego zostaną wypełnione bez zastrzeżeń (*unquestionably fulfilled*) po porażce Japonii”.

Największa tajemnica Jałty zdaje się tkwić w tych ujawnionych słowach. Istotny sekret Jałty to nie to, co tam napisano, lecz to, czego nie napisano.

Dlaczego prezydent Roosevelt — przyznając „bez zastrzeżeń” wyspy Kurylskie i Sachalin Rosji — nie zamieścił w tej samej umowie zastrzeżenia, że inne wyspy japońskie przejdą pod władzę St. Zjednoczonych? Czy prezydent St. Zjednoczonych nie był w stanie włączyć do układu jałtańskiego w sprawach Japonii takiej np. formuły: „Głowy Trzech Mocarstw zobowiązują się wypełnić żądania St. Zjednoczonych, dotyczące wysp, znajdujących się pod mandatem lub w posiadaniu Japonii”? Oczywiście formuła mogła być bardziej precyzyjna, mogła wymieniać np. imiennie Mariany, Karoliny, Okinawę itp. Zabrakło formuły zarówno ogólnej, jak i szczegółowej.

Czy prezydent St. Zjednoczonych nie wiedział, czego ma żądać? Miał przy sobie w Jałcie admirała Kinga i gen. Marshalla. Jest rzeczą nieprawdopodobną, by Departamenty Wojny i Marynarki nie posiadały programu zabezpieczenia interesów Ameryki na Oceanie Spokojnym. Dlaczego ten program nie został zgłoszony?

Kiedy konferencja jałtańska odbywała się — wiele krwi amerykańskiej przelano już na Pacyfiku. Ale było to na długo przed pierwszym strzałem, wymienionym między Rosją i Japonią. Wyspy Kurylskie Rosja wymieniła z Japonią za Sachalin w r. 1875 — tak samo, jak sprzedała Stanom Zjednoczonym Alaskę. Gdyby w Jałcie przyznano Rosji

wyspy Kurylskie wychodząc z założenia, że co „wymienione”, czy „kupione” to ma być zwrócone — byłby to niebezpieczny precedens dla St. Zjednoczonych.

Nie wolno przypuszczać, że prezydent Roosevelt w Jałcie nie wiedział, jakich baz ma się domagać dla Ameryki. Nie wolno przypuszczać, że prezydent Roosevelt mógł uznać sprzedaż Wysp Kurylskich za powód ich oddania. Jakież więc przyczyny spowodowały, że przemilczał w Jałcie znane mu żądania Departamentu Marynarki, że nie domagał się uwzględnienia potrzeb Ameryki?

Czyżby prezydent Roosevelt przypuszczał, że przejęcie na własność potrzebnych Stanom Zjednoczonym baz japońskich — nie zostanie przyjęte przez Wielką Trójkę? Czyj mógł być taki sprzeciw? Angielski? Wydaje się to zupełnie nieprawdopodobne. Rosyjski? Mimo wszystko, co Rosja czyni — wydaje się jednak nieprawdopodobne, by już w Jałcie ośmieliła się sprzeciwiać wzmocnieniu St. Zjednoczonych na Pacyfiku kosztem Japonii. Ale gdyby tak było — to czyż w takiej sytuacji wolno było Prezydentowi St. Zjednoczonych iść na oddanie „bez zastrzeżeń” Rosji strategicznych pozycji na Pacyfiku? Oczywiście nie było wolno. I tę więc hipotezę trzeba odrzucić.

Wolno przypuścić, że prezydent Roosevelt czuł się skrepowany postanowieniami Karty Atlantycznej, w której powiedziano, że podpisane na Karcie Atlantycznej kraje „*seek no aggrandisement, territorial or other*”. Ale jeśli prezydent Roosevelt czuł, że nie może złamać postanowień Karty Atlantycznej w interesie Ameryki, że nie może ich złamać w wypadku, kiedy chodzi o wyspy, albo w ogóle niezaludnione, albo zaludnione przez ludność nie-japońską, albo przez bardzo nieliczną ludność japońską — to jakże mógł się decydować na łamanie Karty Atlantycznej w interesie Rosji, kiedy chodziło o miliony ludzi, o kraj sojusznicy i bohaterki, o Polskę? Przecież w tej samej Jałcie, tego samego dnia, prezydent Roosevelt położył swój podpis pod piątym rozbiorem Polski.

Trudno przypuścić, by prezydent Roosevelt uważał za moralniejsze „*a territorial aggrandisement*” Rosji kosztem sojuszników, niż zajęcie przez St. Zjednoczone kilkudziesięciu wysepek, ledwie

znacznych na mapie, kosztem przeciw-
nika.

Gdyby wrażliwość na literalne dochowa-
nie tekstu Karty Atlantyckiej powodowała
prezydentem Rooseveltem — nie mógłby
się godzić na łamanie przez Sowietów
postanowień tej Karty, którą podpisały
one także 1 stycznia 1942 r. Tym bardziej
nie mógłby przykładąć sam ręki do jej
rozdarcia, ani brać na się współodpowie-
dzialność za zgubę Polski, za krzywdę
Chin.

Hipotezę drażliwego sumienia, jako
powodu niezabezpieczenia w Japcie intere-
sów Ameryki przez prezydenta Roose-
velta — należy więc również odrzucić.

II

Prezydent Roosevelt musiał zdawać sobie
sprawę ze znaczenia ustępstw dla Rosji,
zawartych w tajnej umowie podpisanej w
Japcie w sprawach Dalekiego Wschodu.
Przyjrzyjmy się tym ustępstwom.

Wyspy Kurylskie rozciągają się długim
pasmem od Kamczatki do Japonii, zamy-
kając wejście do morza Ochockiego od
wschodu. Sachalin zamyka wejście do
morza Ochockiego od zachodu. Podarowanie
Sowieciom Kuryłów i Sachalinu — uczyniło
morze Ochockie zamkniętym morzem
rosyjskim.

Traktat jałtański zastrzegał dalej dla
Rosji (kosztem Chin), że:

„Port handlowy Dairen ma być
międzynarodowy, przewaga zaś intere-
sów sowieckich w tym porcie ma być
zabezpieczona; dzierżawa Port Artura,
jako bazy marynarki wojennej dla ZSSR
ma być wznowiona”.

Prezydent Roosevelt zgodził się więc na
stworzenie podstaw potęgi morskiej (i
lotniczej) rosyjskiej na Oceanie Spokojnym
nie tylko kosztem Japonii, ale także kosztem
Chin. Oddane Rosji Wyspy Japońskie za-
mknęły dostęp do wybrzeży rosyjskich od
strony Pacyfiku — oddane Sowieciom bazy
chińskie otwierały Rosji swobodne
wyjście na Pacyfik.

Powyższe postanowienia daleko-wscho-
dniego paktu jałtańskiego stworzyły strate-
giczne „obcegi” rosyjskie, czyniące kwestię
czasu uzależnienie od Rosji Korei i Japonii.
Rozbrojona Japonia musi ulegać pań-
stwu, zagrażającemu z bliska od
północy i od południa Wyspom Japońskim.
W stosunku do Korei jest to tym bardziej
prawdziwe. Okupacja amerykańska w
Japonii nie może trwać wiecznie. Dziś
obecność armii amerykańskiej osłania

Japonię od nacisku rosyjskiego. Kiedy
żołnierze Mac Arthura wyjdą stamtąd —
wówczas odsłoni się w całej pełni znacze-
nie sowieckich baz na Pacyfiku.

Daleko-wschodni traktat jałtański nie
kończył się przecież i na tym. Roosevelt
zobowiązywał się w nim ponadto (cytuje-
my):

- 1) Przedsięwziąć środki dla uzyskania
zgody (generalissimusa Czank-Kaj-Szeka)
aby kolej wschodnio-chińska i kolej



Daleki Wschód

południowo-mandżurska... były admini-
strowane wspólnie przez sowiecko-chiński
zarząd (oraz), aby dominujące (*pre-emi-
nent*) interesy Związku Sowieckiego
zostały zabezpieczone”.

Ten punkt daleko-wschodniego układu
jałtańskiego otwierał Rosji drzwi do Man-
dżurii. Koleje wschodnio-chińska i połu-
dniowo-mandżurska tworzą krzyż komuni-
kacyjny. Kto nimi administruje — admi-
nistruje tym samym całą gospodarką
Mandżurii. Mandżuria zaś jest najbogatszą
provincją chińską, jedyną uprzemysłow-
ioną prowincją chińską. Oddanie Rosji
portów w Dairenie i Port Arturze oraz
obu kolei — oznaczało oddanie Sowieciom
kondominium nad Mandżurią. A to ozna-
czało uzależnienie Chin od Rosji.

Oto więc obraz całości:

Daleko-wschodnia umowa jałtańska
stworzyła warunki dla przewagi rosyjskiej

we wschodniej części Pacyfiku. Uzależnienie Japonii, Korei i częściowo Chin od wpływów sowieckich zostało przez tę umowę jeśli nie przesądzone, to napewno znacznie ułatwione. Interes Stanów Zjednoczonych wymagał więc, by rozszerzeniu zasięgu strategicznego i idących za tym wpływów politycznych Rosji — odpowiadało równoległe rozszerzenie zasięgu strategicznego Ameryki.

W umowach jałtańskich tego brak. Ustępstwa były jednostronne. Równowaga została zburzona. Prezydent St. Zjednoczonych w tej właśnie chwili nie zabezpieczył interesów swego kraju.

Kto wie, czy nie była to chwila ostatnia? Bowiem w tym samym dniu napisano i podpisano w Jałcie inną umowę: o prawie *veto* dla Wielkich Mocarstw w przyszłej organizacji światowej (UNO). Od chwili zaś podpisania tej drugiej umowy zabezpieczenie interesów amerykańskich na Pacyfiku stawało się — jeśli nie uniemożliwione — to w każdym razie utrudnione.

III

Dlaczego Stalin w Jałcie żądał, by mu czarno na białym napisano, że Anglia i Ameryka zobowiązują się „bez zastrzeżeń” na przejście pod władzę rosyjską wysp Kurylskich i Sachalinu? Dlatego, że rozumiał, iż gdyby o to zaczął zabiegać później — mógłby napotkać przeszkody.

Stalin wiedział, że w Ameryce istnieje mocny prąd anty-brytyjski, wysuwający koncepcję, by zarząd nad posiadłościami kolonialnymi został stopniowo przekazany UNO. Koncepcja ta w gruncie rzeczy zmierzała do zmuszenia W. Brytanii (a także Francji i Holandii), by dopuściła St. Zjednoczone do współwładania posiadłościami zamorskimi. Stalin oczywiście nie miał nic przeciw „*trusteeship*’om” UNO nad posiadłościami brytyjskimi, francuskimi, czy holenderskimi. Otwierało to bowiem także Rosji — wielkiemu mocarstwu z prawem *veto* — drogę do mieszania się w sprawy innych państw. Ale Stalin nie godził się, by ktokolwiek mógł wglądać w jego sprawy. Odpowiadało mu, że zdobycze na Japonii pójdą pod „powiernictwo” UNO — o ile to będą posiadłości potrzebne St. Zjednoczonym: Rosji wygodnie jest mieć *veto*, którym psuć może cudze interesy. Ale Stalinowi nie odpowiadało ani „powiernictwo” UNO, ani kontrola W. Brytanii i Ameryki nad posiadłościami japońskimi, które chciał

zabrać dla siebie. To też Stalin uznał moment podpisania umowy, dającej prawo *veto* Wielkim Mocarstwom, za moment, w którym należy wyłączyć spod wglądu UNO i Wielkich Mocarstw to, co Rosja zagarnia.

Z rosyjskiego punktu widzenia jest logiczne, że w Jałcie podpisano jednocześnie: umowę o bezwarunkowym oddaniu Sowietom wysp Kurylskich i Sachalinu i umowę o prawie *veto* Wielkich Mocarstw w UNO.

Tym samym jest rzeczą nielogiczną — i niezrozumiałą — że w Jałcie Ameryka zgodziła się na prawo *veto* i nie wyłączyła spod wszelkich przyszłych dyskusyj swoich potrzeb na oceanie Spokojnym.

Wynik jest taki, iż zdobyte przez Amerykanów i potrzebne im wyspy japońskie są dalej obiektem rokowań. Są więc towarem dyplomatycznym, który Rosja może sprzedawać Ameryce. To nie paradoks. Aby w traktacie pokojowym z Japonią, lub w decyzjach UNO zadysponować posiadłościami po-japońskimi — na to potrzebna jest zgoda Rosji. Rosja może więc żądać od St. Zjednoczonych politycznej zapłaty za uznanie praw Ameryki do np. Iwo Jima czy Okinawy, choć to Ameryka, nie Rosja, zapłaciła za te wyspy wysoką cenę krwi.

Tereny po-japońskie, które Ameryka fizycznie posiada są politycznie fantem w ręku Stalina. Sowiety tak starannie zreagowały daleko-wschodni traktat jałtański, że gdyby nawet Rosja nie wzięła udziału w wojnie azjatyckiej — to Stalin mógł się powołać na tekst mówiący: „żądania Związku Sowieckiego zostaną bez zastrzeżeń zaspokojone po porażce Japonii”. Stalin nie pozwolił ograniczyć swego udziału w łupach „zastrzeżeniem”, iż pokonanie Japonii przez Anglię i Amerykę bez udziału Sowietów wyłącza je od dobrodziejstw cudzego zwycięstwa. Natomiast Roosevelt nie zabezpieczył Ameryce owoców jej własnego zwycięstwa.

IV

Sytuacja, wytworzona w Jałcie, pogorszyła się w ciągu roku, jaki upłynął od tej pory. W tym czasie grzech zaniedbania, popełniony w Jałcie, pogłębiany został na konferencji w San Francisco i na ostatniej konferencji w Moskwie.

W San Francisco delegacja amerykańska zabrała po uszy w „*trusteeship*’y”. Pomimo żądania przez Departament Marynarki szeregu wysp „na własność,” mimo interwencji senatorów w delegacji amerykańskiej, górowała teza o „powiernictwie”.

W tekście statutu UNO umieszczono postanowienie:

„System powiernictwa będzie zastosowany do takich terytoriów, niżej wyszczególnionych kategorii, które w drodze umów powierniczych mogą być poddane powiernictwu: a) terytoriów obecnie zarządzanych na podstawie mandatu, b) terytoriów, które mogą być ODERWANE OD PAŃSTW NIEPRZYJACIELSKICH w wyniku drugiej wojny światowej” (Art. 77).

Aczkolwiek postanowienie powyższe nie przesądza, że wszystkie tereny zabrane nieprzyjacielowi muszą być oddane pod „zarząd powierniczy” z ramienia UNO — to jednak sugeruje ono takie właśnie rozwiązanie. Zwłaszcza, jeśli chodzi o — „tereny strategiczne”. Wyłącznie zaś o tereny strategiczne chodzi St. Zjednoczonym na Pacyfiku.

P. Mołotow starannie pilnował, aby fantów, danych Sowietom w Jalcie, nie odebrano im w San Francisco. To też artykuł 83-ci statutu UNO zastrzega, że „wszystkie funkcje UNO w odniesieniu do terenów strategicznych, włączając w to zatwierdzenie warunków umowy powierniczej, będą wykonywane przez Radę Bezpieczeństwa”. Nie przez Radę Powiernictw, gdzie postanowienia mają zapadać większością głosów, lecz przez Radę Bezpieczeństwa, gdzie Rosja ma prawo *vela*. W ten sposób między St. Zjednoczonymi i bazami po-japońskimi na Pacyfiku — stanęło Japonią z prawem *vela*.

Pętla sowiecka, zarzucona w Jalcie, ściągnięta w San Francisco — została zawężona podczas ostatniej konferencji moskiewskiej. Sekretarz Byrnes zgodził się tam na współudział Rosji w zarządzie Japonią z prawem *vela*.

Zabezpieczenie interesów Ameryki na Pacyfiku — którego zaniedbał Roosevelt w Jalcie — jest teraz legalnie niemożliwe bez zgody Rosji: ani w UNO, ani w traktacie pokojowym z Japonią. To, co Ameryka zdobyła na Japonii będzie musiała raz jeszcze kupić... od Sowietów. Za jaką cenę?

Błędy Jalty w sprawie Dalekiego Wschodu nie zostały naprawione. Przeciwnie, zostały pogłębione. Dlaczego?

P. Stettinius, sprawując urząd Sekretarza Stanu, oświadczył, że „nie ma” tajnych

umów jaltańskich. Nie mamy powodu przypuszczać, że nie mówił szczerze. W takim razie, prowadząc w San Francisco rokowania o „*trusteeship'y*” nie wiedział w jakiej sytuacji rokuje i musiał robić błędy.

Sekretarz Byrnes powiedział, że zapoznał się z umową jaltańską w sprawach Dalekiego Wschodu dopiero 2 września 1945 r. Zatem w Poczdamie p. Byrnes reprezentował swój kraj nie znając traktatu, zawartego przez jego departament z państwem, z którym właśnie rokował. Nic dziwnego, że p. Byrnes gotów był w Poczdamie płacić — i płacił — jeszcze raz za rosyjskie wejście do wojny w Azji.

Ukrycie błędów Jalty musiało prowadzić do ich pogłębienia.

Ukrycie przed ministrem spraw zagranicznych traktatów, wiążących Państwo — jest czymś zupełnie nieprawdopodobnym. A przecież tak było. Jacyś urzędnicy musieli przepisywać układ jaltański, inni musieli go przechowywać. Jacyś urzędnicy znali więc treść układu. A jednak ukrywali go przed Stettiniusem, przed Byrnesem a może i przed Trumanem...

V

Omówiliśmy obszernie traktat jaltański w sprawach Dalekiego Wschodu — ponieważ pozwala to scharakteryzować najlepiej atmosferę Jalty. Było to bowiem *appeasement* amerykańskie już nie cudzym, lecz własnym uczynione kosztem.

Jalta — to rozbiór Polski, rozbiór Chin i pozbawienie Ameryki bezpieczeństwa na Pacyfiku. Atmosfera Jalty — to atmosfera fałszu, okłamywania własnego narodu, własnych przedstawicieli, własnych ministrów. Z Jalty lucha zaduchem, w którym miesza się zapach izby szpitalnej, gdzie ktoś umiera, ze specyficzną, dziegciową wonią sowieckich szpicli. Cokolwiek powstawało w takiej atmosferze — powstawało na szkodę światu.

Pułkownik Donovan powiedział, że stanie na kłęczkach nie jest postawą godną Ameryki.

Ameryka ukiekła w Jalcie właśnie. Jeśli ma z powrotem stanąć na nogi — musi zerwać hanielne i nielegalne umowy jaltańskie.

Ignacy Matuszewski

Dla kogo pracuje czas?

Powoli, bardzo powoli wraca pewna kategoria krajów do bardziej pokojowej formy życia. Pewne fakty, jak zwłaszcza podpisanie układu angielsko-amerykańskiego w sprawie pożyczki mogłyby wskazywać na to, że spora część świata weszła na solidną drogę powrotu do gospodarki pokojowej. Przypuszczenie takie nie byłoby jednak zgodne ani z ogólną atmosferą odczuwaną przez wszystkich, ani z powierzchownym nawet rzutem oka na sytuację. Co do tego nie ma dwu zdań. W świecie panuje stan napięcia uniemożliwiający zdecydowane przejście na tor normalnej gospodarki.

Obecna chwila odpowiada mniej więcej epoce lipca 1919 r. (osiem miesięcy po kapitulacji Niemiec). Dla uprzytomnienia sobie dzisiejszej sytuacji, rozpatrywanej pod kątem widzenia skutków ekonomicznych wojny i widoków na odbudowę, dobrze jest przeprowadzić analogię z ówczesną epoką.

a) Sytuacja polityczna w świecie była wówczas o wiele bardziej przejrzysta. Najlepiej maluje to fakt, że zanim upłynęło osiem miesięcy od słynnej chwili podpisania aktu kapitulacji w Compiègne, zwycięskie państwa zdążyły doprowadzić do podpisania traktatu pokojowego w Wersalu. Cóż za drastyczny obraz kontrastu na tle dzisiejszych międzynarodowych konferencji, zjazdów wielkich trójek, piątek itp. Obóz zwycięzców był wówczas względnie jednolity. A dzisiaj? Ale nie w tym leży istota sprawy. Przeobrażenia po pierwszej wojnie światowej na skutek klęski szeregu mocarstw były znaczne. Ale właściwy schemat politycznego mechanizmu Europy, polegający na grze równowagi sił był na razie mniej więcej utrzymany. Rosja była wprowadzie wyeliminowana, ale jej miejsce zajmowała Polska i Mała Ententa, a poza tym Niemcy były na dłuższy czas bardzo osłabione. Dzisiaj przez zupełnie wyeliminowanie Niemiec w Europie powstało *vacuum*. Sytuacja jest bez precedensu. Zasadniczym elementem równowagi był fakt egzystencji w środku Europy mocarstwa, które zmuszało do powstania przeciwwagi w postaci porozumień wschodnich i zachodnich sąsiadów Niemiec. Dawny system polityczny budowy Europy nie istnieje. Jaki inny system zajmie jego miejsce? Dzisiaj nad ruiną i pustką w sercu Europy

siedzi z jednej strony po połknięciu wschodniej i środkowej Europy eurazjatycki potwór rosyjski — z drugiej strony anglosaska wspólnota, powiększona o wąski pas państw zachodnich. Oba te światy obce, nieufne, o różnych kulturach, różnym stylu życia są bez wspólnego języka. Świat stoi w obliczu jakiegoś *novum*. Na Dalekim Wschodzie powstała również próżnia na miejscu zdruzgotanej Japonii. Poza tym z różnych stron Azji dochodzą groźne pomruki emancypacyjnych ruchów ludności tubylczej przeciwko rasie białej. Jednym słowem nad światem ciąży złowroźna zagadka przyszłego ukształtowania się międzypaństwowych stosunków politycznych.

b) Po tamtej wojnie nie wisiała nad światem zhora nowej wojny. Ze zrozumiałych względów. Niemcy jako połęga wojskowa na przeciąg dłuższego czasu nie wchodziły w rachubę. O wojnie między mocarstwami zachodnimi w ogóle nie mogło być mowy. Rosja osłabiona, wyznająca zresztą wówczas doktrynę negacji imperializmu, zanachizowana, nie przedstawiała większego niebezpieczeństwa. Wojny mogły być i były lokalne, ale zasadniczo świat żył w przeświadczeniu, że nowy ogólny konflikt na razie przynajmniej jest nieprawdopodobny. Poza tym świat żył pod wrażeniem idei Ligi Narodów i spodziewanych dobroczynnych skutków jej funkcjonowania. Było to coś nowego i wówczas więcej zapewne wzbudzało zaufania niż obecna kombinacja z Narodami Zjednoczonymi. Wojna dalej w pojęciu ówczesnym nie łączyła się tak jak dzisiaj z pojęciem kataklizmu, zagłady cywilizacji, którą by użycie bomb atomowych i innych wynalazków musiało spowodować.

c) Zarówno wynikiem pierwszej jak i drugiej wojny światowej było i jest nasilenie wrzenia socjalnego i wewnętrzno-politycznego. Jest to zjawisko równie łatwo wytłumaczalne jak i groźne, z punktu widzenia ekonomicznego. Wszelkie reformy są kosztowne i bardziej naturalne byłoby realizowanie ich w epokach *prosperity*, w epokach nagromadzonych rezerw, nie zaś w okresach dewastacji. Tak czy owak reformy „socjalistyczne” — w pierwszym rzędzie nacjonalizacje przedsiębiorstw i reformy agrarne, w zależności od stopnia umiejętności w ich przeprowadzeniu, albo wprowadzają do życia element niepewności

i zniechęcenia (Anglia, Francja), bądź też zupełnie dezorganizują i rujnują, prowadząc do zniszczenia wartości rzeczowych (np. Polska).

Niewątpliwie fala reformatorska w świecie jest silniejsza dzisiaj niż w 1919 r. Po pierwsze nie obejmowała wówczas państw zwycięskich, głównie dotyczyła państw zwyciężonych i nowopowstałych. Dzisiaj poza U. S. A., podlegają tym tendencjom wszystkie państwa. W Anglii rządzą socjaliści, w każdym kraju komunisty dysponują potężnymi wpływami. Wówczas Rosja — naturalne oparcie i protektor tych ruchów była słaba, odcięta od Europy i jak gdyby na indeksie. Dzisiaj usadowiła się nad Elbą, będąc tryumfatorą wojny i cieszy się dużym prestiżem. Radykalizm reform przeprowadzonych na obszarach znajdujących się we władzy Rosji poza czynnikiem destrukcyjnym w sensie materialnym, nie ma odpowiednika — poza samą Rosją — w świecie w tamtej epoce.

d) Co do namacalnych materialnych strat spowodowanych obiema wojnami jest jasne, że są one znacznie większe obecnie, niż po wojnie poprzedniej. Po pierwsze zasięg wojny był teraz większy. Wojna objęła nie tylko więcej państw w Europie, ale również i Daleki Wschód. Po drugie, wojna trwała dłużej. Po trzecie, wskutek techniki wojennej (lotnictwo, bomby rakietowe) i wskutek zarzucenia wszelkich skrupułów w sposobie prowadzenia wojny, stała się ona bez porównania bardziej niszczycielska. Po czwarte, wskutek tychże postępów technicznych obecny typ wojny wymagający znacznie większej ilości sprzętu wojennego stał się dużo kosztowniejszy. Skutkiem tego wysiłek finansowy wszystkich państw prowadzących wojnę był znacznie większy, jak również wysiłek techniczny, a zatem i większe zużycie przemysłowych instalacji. Konsekwencją tego wszystkiego są zbombardowane i spalone miasta, fabryki, zużyte środki komunikacyjne, maszyny, zawrotne zadłużenie, ruina finansowa na skalę nierównie większą niż po pierwszej wojnie.

Skonstatowanie tego, zdefiniowanie sytuacji nie jest sztuką. Mimo woli nasuwają się pytania co przyniesie przyszłość w dziedzinie odbudowy gospodarczej świata. O ile w ogóle następnym etapem będzie odbudowa. W czasach normalnych spojrzenie wstecz łączyło się zwykle ze stawianiem pewnych horoskopów na przyszłość. Przez „czasy normalne” w tym wypadku rozumie się czasy, kiedy między pewnymi zjawiskami ekonomicznymi, jak wysokość

stopy procentowej, płynność rynku pieniężnego i kapitałowego, koniunktura gospodarcza itp. zachodzi normalna współzależność, normalne współoddziaływanie, kiedy zjawiska te w życiu danego organizmu gospodarczego ważą i mają wpływ decydujący i kształtujący.

Nie potrzeba chyba dowodzić, że tego rodzaju medytacje dzisiaj są absolutnie nierealne. Wszystko zależy od rozwoju wypadków politycznych — momenty czysto ekonomiczne nie grają zupełnie roli. Rozwój sytuacji będzie wynikiem wypadkowej działania sił w sferze poza - ekonomicznej. Jest to zresztą — whew temu co się często twierdzi — stara prawda. Oczywiście, że istnieje wzajemne oddziaływanie obydwu sfer, ale decydującymi są zawsze namiętności polityczne.

Po podpisaniu traktatu wersalskiego, zasadniczo bardzo mało zmieniło się w Europie — poza wypadkami poprzedzającymi ustabilizowanie wschodnich granic Polski i poza korekturą granic turecko-greckich, właściwie nie w dziedzinie granic międzypaństwowych. Wrzenia rewolucyjne w różnych krajach stopniowo przygasły. Czy dzisiaj można również przypuszczać coś podobnego? Świat jest podzielony na dwa duże obozy. Między tymi obozami istnieje głęboko sięgające napięcie oparte na zasadniczych różnicach. Nie chodzi tutaj o dowodzenie, czy dojdzie do konfliktu między tymi obozami, czy też nie. (Nawiasem mówiąc, czy historia dostarcza analogii wskazującej, że równe napięcie nie skończyło się konfliktem, aby się rozeszło, jak to się mówi po kościach?). Jeżeli będzie taki zbrojny konflikt w najbliższym czasie, to wszelkie ekonomiczne rozważania są zupełnie zbędne. O tym, żeby atmosfera niepewności, wzajemnej podejrzliwości nagle się rozładowała nie ma mowy. W najlepszym (może być w „najgorszym” — jak kto woli) razie nastąpi ustabilizowanie się „*status quo*” na jakiś czas. To jest hipoteza w każdym razie nie tylko możliwa, ale i prawdopodobna. Wówczas nasuwa się pytanie ciekawe i ważne. Wygląda ono następująco:

Oba obozy w świecie mają strukturę gospodarczą, polityczną i socjalną bardzo różną. W związku z tym trzeba stwierdzić, że obecny nieszczęśliwy układ stosunków politycznych w świecie nie może wpływać na stan gospodarczy każdego bloku w sposób jednolity, ale musi wpływać w sposób różny. W takim razie musi dalej zachodzić zjawisko zmiany wzajemnego stosunku układu sił obu obozów. W zależności bowiem od tego, która strona jest

więcej bita, jej pozycja wobec strony przeciwnej staje się słabsza. Jeżeli dzisiaj można by mówić o względnej równowadze, to niezależnie od innych czynników, przez samo działanie czasu ta równowaga zostaje naruszona. Inaczej mówiąc, chodzi o ustalenie *na czyją korzyść* i w jakim mniej więcej stopniu *pracuje czas*.

Rosja z tytułu, że jest państwem o gospodarce socjalistycznej — rzecz jasna — mniej podległa wpływom, jakie normalnie muszą wywierać na organizmy gospodarcze stany podobne do tego, który przeżywa obecnie świat. I to nawet mimo postępującej socjalizacji państw zachodnio-europejskich. Zjawiska takie jak ruchy kapitałowe, ucieczki kapitałów, spowodowane niepewnością, brakiem zaufania Rosji, zachodzić nie mogą. Tak samo inicjatywa, inwestycje prywatne jako nieistniejące nie mogą podlegać żadnym fluktuacjom. Gospodarka państw kapitalistycznych jest bardziej skomplikowana. Takie rzeczy jak dochody banków z pośrednictwa w międzynarodowych transakcjach kredytowych, dochody z żeglugi, ruchu turystycznego, czułe na wahania koniunktury, ważą przeważnie w gospodarkach kapitalistycznych. Rosja jest organizmem prawie autarkicznym; handel zagraniczny, kwestie transportowe spełniają tam rolę nierównie mniejszą niż w Anglii, Francji itp. Uniezależnienie od obcych surowców jest prawie zupełne. Moment ludzki w gospodarczej rozbudowie Rosji do wybuchu wojny nie istniał prawie wcale. Swoją potencjał gospodarczy Rosja stworzyła za cenę obniżenia poziomu życia ludności do granic niebawale niskich, za cenę pracy niewolniczej sporych mas tej ludności. Wojna jeszcze bardziej pogrążyła kraj w nędzy. Możliwości dalszego wyzyskiwania ludności, nie liczenia się z jej potrzebami istnieją nadal. Pozostawia się na boku kwestię będącą zresztą znakiem zapytania, czy i w jakiej mierze wojenne przeżycia narodów Rosji, zatknięcie się mas wojska rosyjskiego z wyższym znacznie poziomem życia w Europie Środkowej nie wytworzyły w psychice ludności zarodków pewnego buntu przeciwko dotychczasowemu systemowi eksploatacji. Jest to oczywiście możliwe, ale w przewidywaniach lepiej opierać się na przypuszczeniu, że w tym względzie nadal pozostanie wszystko po staremu. Ujmując to w języku bardziej ekonomicznym można powiedzieć, że jest to jednoznaczne z wyprodukowaniem większej ilości dóbr inwestycyjnych kosztem dóbr konsumpcyjnych, albo inaczej jeszcze — stworzeniem dodatkowej ilości kapitału rzeczowego. Wszystko to dalej oznacza możliwość

szybszej odbudowy rosyjskiego potencjału wojennego. Dochodzi jeszcze niezależny od tego fakt ściągania przez Rosję z terenów przez nią okupowanych odszkodowań rzeczowych. Państwa okupowane przez Rosję, jako wciągnięte w orbitę rosyjskiej polityki dopiero teraz, cierpią dużo więcej gospodarczo. Z jednej strony są grabione i ogalacane, z drugiej strony cierpią z powodu przestawienia gospodarki na tory sowieckie, z powodu odcięcia od zachodu itp. Ale to dla Rosji ma znaczenie ze względu na wyrównywanie poziomu życia do wzoru sowieckiego i jednocześnie z uwagi na skurczenie zasięgu wpływów gospodarczych bloku przeciwnego. Jedno i drugie nie jest pozbawione znaczenia dla Rosji. Sam fakt włączenia tych państw do bloku rosyjskiego zwiększa jego potencjał gospodarczy.

W bloku zachodnim trzeba oddzielnie omówić Stany Zjednoczone i Anglię wraz z innymi europejskimi państwami tego bloku. Stany Zjednoczone dzięki temu, że nie doznały żadnych zniszczeń wojennych, dzięki swym ogromnym zasobom surowcowym, kapitałowym, dzięki dysponowaniu ogromnym rynkiem zbytu są w sytuacji wyjątkowej. To samo odnosi się po części do dominiów angielskich i krajów południowo-amerykańskich. Europejskie kraje bloku zachodniego są w położeniu znacznie gorszym. W odróżnieniu od tamtych krajów mają do rozwiązania nie tylko problem przestawienia produkcji wojennej na pokojową, ale tak samo problem odbudowy zniszczeń. Dlatego polepszenie sytuacji gospodarczej, podniesienie poziomu życia ludności może nastąpić tam później. Ale przeobrażenia w wyniku tej wojny w dziedzinie gospodarczej są tak duże (między innymi chociaż by takie wyeliminowanie olbrzymiego rynku zbytu jakim były Niemcy, a w mniejszym stopniu Japonia), że nawet w wypadku nieistnienia w świecie napięcia politycznego powrót do jako tako unormowanych stosunków gospodarczych byłby bardzo bolesny i musiałby obfitować po pewnym czasie w momenty przesileniowe. Dalsze przewleknięcie obecnego stanu musi powodować i powoduje trudności socjalno — polityczne; strajki m. in. w Anglii i St. Zjednoczonych są tego wyrazem. Strajk jest rzeczą nie istniejącą w Rosji. Szerokie masy ludności są niezadowolone z niemożności podniesienia względnie zbyt powolnego podnoszenia poziomu życia. Utrzymywanie zaś wielkich budżetów wojennych stoi z tym w kolizji.

W tym względzie Rosja jest w znacznie wygodniejszym położeniu. Czy wobec tego nie należałoby szukać w pewnym stopniu

klucza do rozwiązania zagadki polityki zagranicznej rosyjskiej w stwierdzeniu faktu nierównego odczuwania przez oba bloki przeżywania w świecie trudności.

Nie należy tego pytania źle rozumieć. Obecny stan krytyczny w świecie jest świadomie zawiniony przez Rosję. Polityka rosyjska ma swoje zakreślone cele. Ponieważ realizacja tych celów koliduje z żywotnymi interesami bloku zachodniego, wytwarza to pewien stan napięcia. Potęguje to jeszcze specyficzna taktyka rosyjska. Jest wielką przewagą Rosji, że w wytknięciu i próbie osiągnięcia swych celów nie potrzebuje ona oglądać się — tak jak to czynić muszą państwa zachodnie — na aspiracje

materialne swej ludności i nie potrzebuje obawiać się jej niezadowolenia. Nie ulega bowiem wątpliwości, że w wypadku stosowania przez Rosję polityki pokojowej, mniej ekspansyjnej, również i ona sama szybciej by się ekonomicznie podniosła.

Wytwarzanie trudności w świecie wywołuje — mówiąc z grubsza — zamęt i ferment w społeczeństwach poszczególnych krajów, z czego korzysta pośrednio Rosja.

Byłoby oczywiście niesłuszne twierdzenie, że fakt ten determinuje politykę rosyjską, ale nie może ulegać wątpliwości, że kierownicy tej polityki doskonale sobie z tego zdają sprawę

N. X.

PROBLEMY

Przebudowa ustroju rolnego

Artykuł niniejszy, będący wyrazem poglądów autora, który brał czynny udział w życiu Polski Podziemnej, zamieszczamy jako dyskusyjny.

Przed wojną Polska pod względem ustroju rolnego liczyła około 80% użytków rolnych, stanowiących średnią i drobną własność chłopską. Nie była więc państwem wielkoobszarniczym. Stale, choć powoli przeprowadzana reforma rolna zmierzała do zwiększenia chłopskiego stanu posiadania i poprawy bytu wsi. Ogólne warunki gospodarcze Polski powodowały, że skomplikowane to zagadnienie mogło być realizowane w stopniu ewolucyjnym, a więc stosunkowo powoli.

W okresie wojny w Kraju, po okresie dyskusji i wymiany poglądów, zarysowały się wyraźnie postulaty programowe związane z przebudową naszego ustroju rolnego. Poza obszernymi omówieniami w prasie konspiracyjnej znalazły one wyraz w wielu publikacjach, z których należy wymienić doskonałą i źródłową broszurę pt. „Budujemy nowy, szklany dom”, wydaną na początku 1944 r. przez Delegaturę Rządu, wypowiedzi programowe WRN (konspiracyjna nazwa PPS) i Zjednoczenia Demokratycznego, broszurę pt. „Program Polski Ludowej”, ogłoszoną w pierwszych miesiącach 1944 r. przez konspiracyjne Stronnictwo Ludowe. Oficjalnym wyrazem opinii politycznej w Kraju była deklaracja programowa Rady Jedności Narodowej z 15 marca 1944 pt. „O co walczy Naród

Polski”, w której obszernie zostało ujęte zagadnienie przebudowy ustroju wsi.

Przebudowa ta oparta była na przesłankach społecznych, gospodarczych i politycznych: miała być dokonywana niezwłocznie po odzyskaniu Niepodległości. Konieczność jej nie była w Kraju kwestionowana przez żadną grupę polityczną, a świadomość jej ogólnych założeń była powszechna i silnie zakorzeniona na wsi.

Należy podkreślić, że w okresie okupacji na wsi zaszły duże przemiany. Wybitnie zarysował się nie tylko czynny patriotyzm chłopów polskiego, lecz również wzrosła jego świadomość własnej roli w państwie i wzmogło się zainteresowanie ogólnymi sprawami państwowymi i międzynarodowymi. Konspiracja szerokim zasięgiem objęła wieś, zarówno w sensie wojskowym jak i politycznym. Wymienić tu trzeba działalność Stronnictwa Ludowego i jego odpowiednik wojskowy „Bataliony Chłopskie” oraz Chłopską Organizację Wolności „Racławice”, legitymującą się poważnym dorobkiem wojskowym w postaci P.O.Z. (Polskiej Organizacji Zbrojnej) scalonej w r. 1943 z AK. Masowy udział chłopów w szeregach AK stanowił wymowny dowód postawy ideowej wsi polskiej.

Dziś, kiedy wolny głos Kraju został zduszony nową okupacją, kiedy Kraj nie może pracować w warunkach niepodległości nad realizacją swych wieloletnich przemysłów programowych, Wolni Polacy za granicą powinni przejąć dorobek koncepcyjny Polski Podziemnej. Zarówno zwiąże ich to mocno z Krajem, jak również wska-

że drogę do rozważań i sformułowań w prowadzonej nadal walce o niepodległość. Dlatego warto określić na podstawie wyżej wymienionych źródeł wyrażane w Kraju poglądy i postulaty w zakresie przebudowy ustroju wsi.

1. — Polska Niepodległa uznaje w rolnictwie własność prywatną. Własność nie może stanowić źródła wyzysku innego człowieka i służyć winna dobru ogółu. Właścicielem gospodarstwa rolnego może być tylko ten, kto osobiście na nim pracuje.

Ustrój rolny Polski opierać się będzie na gospodarstwach indywidualnych, nie przekraczających powierzchni 50 *ha*. Podstawową formę ustroju stanowić będą gospodarstwa jednorodzinne (obsługiwane bez sił najemnych) o obszarze 8-15 *ha* w zależności od rodzaju gleby i położenia (odległość od miast i centrów przemysłowych), dające możność pracy racjonalnej, i zaspakajającej potrzeby rodziny. Ten postulat może być w pełni osiągalny w gospodarstwach typu ogrodniczego (warzywnictwo) o powierzchni mniejszej niż 8 *ha*, lecz położonych w rejonach podmiejskich.

W pierwszym rzędzie upemnorolnieniu muszą ulec gospodarstwa karłowate. (W r. 1931 było w Polsce 800.000 gospodarstw o powierzchni do 2 *ha* oraz 1.200.000 gospodarstw o powierzchni 2-5 *ha*).

Dla celów podnoszenia kultury rolnej istnieć będzie pewna ilość specjalnych gospodarstw rolnych (nasienne, hodowlane itp. o powierzchni przekraczającej 50 *ha* (lecz nie większej ponad 180 *ha*). Gospodarstwa te stanowić będą własność państwową lub społeczną.

Lasy zostaną upaństwowione, względnie uspołecznione.

2. — Przebudowa ustroju rolnego w Polsce Niepodległej polegać winna na współzrędnym przeprowadzaniu z nadaniami ziemi (tzw. w wąskim pojęciu reforma rolna) akcji komaśacyjnej i melioracyjnej.

3. — Zdrowe pod względem strukturalnym gospodarstwo rolne w Polsce będzie zdolne do intensyfikacji (podniesienie ilości i jakości) produkcji, oparcia jej na nowoczesnych metodach pracy (maszynizacja rolnictwa) i zwiększania kultury uprawy ziemi.

4. — Czynnikiem zapewniającym zachowanie zdrowego ustroju rolnego będzie przeciwdziałanie rozdrobnieniu gospodarstw rolnych. Swobodny obrót handlowy ziemią powinien być ograniczony nieprzekraczalnością minimum ustalonego obszaru racjonalnego gospodarstwa dla danego terenu.

Niepodzielność gospodarstw drobnych (8-15 *ha*) winna znaleźć zabezpieczenie prawne. Jednak wyłącznie tylko normy prawne nie zdołają wprowadzić i zachować zdrowego ustroju rolnego.

5. — Przebudowa wsi łączy się bowiem ściśle z całokształtem zagadnień społeczno-gospodarczych w państwie.

Ilość tzw. rąk zbędnych w rolnictwie (bez pracy lub zatrudnionych częściowo) wynosiła w Polsce przed wojną około 5 milionów ludzi (*), a przyrost naturalny zwiększał ją corocznie o około 250.000 ludzi. Ilość ta obciążała gospodarczo wieś.

Potencjalny zapas ziemi, jakim Polska dysponowała na cele reformy rolnej w dn. 1.IX.1939 r. (wielka własność ziemska około 4 miliony *ha*) (*), oraz dziś trudne do ścisłego obliczenia (wobec nieustalenia ostatecznego granic zachodnich i północnych Polski) obszary rolne na tzw. „ziemiach odzyskanych”, przy uwzględnieniu w pierwszej kolejności konieczności upemnorolnienia gospodarstw karłowatych, nie wystarczą dla racjonalnego obdzielenia ziemią wszystkich rąk zbędnych w rolnictwie. Znaczna ich część wraz z corocznym przyrostem naturalnym nie znajdzie należytego wykorzystania na wsi.

Miejscem pracy dla nich musi stać się miasto i przemysł. Straty wojenne ludności miejskiej w Polsce (zwłaszcza wśród Żydów) oraz konieczność obsadzenia nowych miast na ziemiach odzyskanych stwarzają znacznie większe niż przed wojną zapotrzebowanie na ludzi zbędnych na wsi. Należy liczyć się z faktem, że wskutek migracji wojennych (wywiezieni na roboty przez Niemców, Wojsko Polskie za granicą) poważny procent ludzi związanych poprzednio ze wsią zyskał przygotowanie zawodowe do pracy w mieście lub przemyśle.

Warunki gospodarcze w Polsce przed wojną powodowały, że mimo wyraźnych tendencji w tym kierunku, uprzemysłowienie kraju postępowało powoli. Mimo, iż warsztaty przemysłowe w Polsce uległy wskutek działań wojennych stosunkowo niewielkim zniszczeniom, to jednak gospodarka niemiecka i grabieże sowieckie osłabiły wybitnie ich zdolność produkcyjną. Ocalałe w znacznym stopniu urządzenia fabryczne na ziemiach odzyskanych ucierpiały mocno wskutek grabieży sowieckich.

W tym stanie rzeczy uruchomienie i rozbudowa przemysłu w Polsce Niepodległej będzie musiała następować powoli i

*) Cyfry orientacyjne, bez gwarancji dokładnej ścisłości.

stąd nie należy przeceniać szybkiej chłonności przemysłu na ręce ludzkie zbędne na wsi, chociaż można przewidywać, że będzie ona większa niż przed wojną.

Aczkolwiek reforma rolna łącznie z osadnictwem na ziemiach odzyskanych oraz chłonność miast i przemysłu wybitnie zmniejszy przeludnienie wsi, to jednak trzeba się liczyć z faktem, że całkowita

pracy, jak i dla należytego zaspokojenia potrzeb rodziny chłopskiej. Od siły nabywczej wsi będzie w dużym stopniu uzależniony rozwój przemysłu polskiego, który z trudnością zdobywać będzie zagraniczne rynki eksportowe wobec konkurencji państw uprzemysłowionych i niedotkniętych, tak jak Polska, niszczącymi skutkami wojny i dwóch okupacji.



Katedra w Wilnie

likwidacja tego zagadnienia może nastąpić drogą ewolucyjną.

Zjawisko stałej lub sezonowej emigracji zarobkowej chłopa musi zniknąć z życia polskiego.

6. — Przebudowa ustroju rolnego winna zapewnić podniesienie stopy życiowej chłopa polskiego. Zwarcie tzw. nożyc cen przemysłowych i rolnych jest tego koniecznym warunkiem. Równowaga tych cen wpłynie na wzrost konsumpcji wewnętrznej kraju, która stanowić będzie podstawowy czynnik gospodarczego i cywilizacyjnego rozwoju Polski.

Zdrowe, a więc wydajne, opłacalne i nieobciążone nadmiarem niepotrzebnych rąk, gospodarstwo rolne będzie naturalnym konsumentem artykułów przemysłowych, zarówno na potrzeby swego warsztatu

7. — Wraz z przebudową ustroju wsi nastąpić musi unowocześnienie i podniesienie poziomu technicznego produkcji rolnej oraz rozwój aparatu wymiany towarowej między wsią a miastem, opartego na spółdzielczości. Elewatory, rozbudowa sieci drogowej, elektryfikacja, stanowią niezbędny czynnik dobrobytu i postępu kulturalnego wsi polskiej. Przyczyniać się do tego będzie również racjonalne budownictwo wiejskie.

8. — Państwo powinno otoczyć specjalną opieką całokształt gospodarki rolnej celem podniesienia produkcji i spożycia wsi. Pomoc państwowa obejmie zarówno akcję kredytową, jak i fachową pomoc instruktorską, oraz znajdzie wyraz w popieraniu hodowli i kultury uprawy ziemi. Gospodarcze względy wewnętrzne i zewnętrzne

(podstawowe znaczenie produkcji rolnej dla eksportu zagranicznego Polski) naka-
żują oparcie gospodarki rolnej na zasa-
dach planowania.

9. — Niezbędnym warunkiem postępu społecznego i rozwoju gospodarczego mas chłopskich jest upowszechnienie oświaty i kultury na wsi. Rolnicze szkolnictwo zawodowe, rozbudowane zgodnie z potrze-
bami terenu, zapewni wsi zdobycie wiedzy fachowej. Rozbudowa sieci szkolnictwa powszechnego, zawodowego i praktyczne udostępnienie szkolnictwa ogólnokształcącego i wyższego umożliwi młodzieży chłop-
skiej drogę do awansu społecznego i przy-
gotuje znaczną jej część do zawodów poza-
rolniczych. Zgodnie bowiem z postulatami
przebudowy Polski Niepodległej korzystanie
ze szkolnictwa wszystkich typów musi być
uniezależnione od sytuacji materialnej
młodzieży i jej rodzin.

W zakresie upowszechnienia kultury państwo winno w pierwszym rzędzie
uwzględnić tereny wiejskie przy jedno-
czesnym ułatwianiu rozwoju samorodnej
twórczości kulturalnej chłopskiej i wzboga-
cania nią kultury narodowej.

10. — Przebudowa ustroju wsi, zwią-
zane z nią uaktywnienie form społecznego
życia wsi, stanowiąc będą zasadniczy czyn-
nik zapewniający chłopstwu polskiemu
świadomy swej roli czynny udział i wpływ
na życie i losy państwa.

Realizacja zasad przebudowy wsi w Pol-
sce Niepodległej nie będzie ani łatwa, ani
szybka. Im dłużej trwać będzie okupacja
sowiecko-lubelska, tym większe będą trud-
ności przy jej przeprowadzaniu. Z warun-

ków tych trzeba zdawać sobie sprawę.

Ogólne trudności gospodarcze państwa
(zwłaszcza ubóstwo kapitałowe) znajdą swe
odbicie w zakresie wymagającej dużych
środków przebudowy wsi.

Uwzględnić trzeba będzie następujące
okoliczności:

Dodatknie: 1) Zmniejszenie ilości „zbed-
nionych rąk” obciążających rolnictwo. 2)
Zwiększenie obszaru ziemi, którym można
dysponować przy przebudowie ustroju rol-
nego. 3) Potencjalne zwiększenie chłon-
ności miast na ludność pochodzenia wiej-
skiego.

Ujemne: 1) Chaos prawny i konieczność
prawnych podstaw dla realizacji przebu-
dowy oraz ustosunkowania się do niele-
galnych faktów dokonanych w okresie obu
okupacji. 2) Wyniszczenie gospodarstw i
obniżenie się produkcji rolnej. 3) Słaby
stan przemysłu i dotkliwe skutki rabun-
kowej gospodarki. 4) Skomplikowanie
ustroju rolnego przez zarządzenia okupacyj-
ne (reforma rolna, osadnictwo, przesiedla-
nie). 5) Ogólna trudna sytuacja gospo-
darcza państwa. 6) Konieczność renowacji
polskiego, chłopskiego stanu posiadania i
reorganizacji ustrojowo-rolnej na ziemiach
na wschód od linii Curzona. 7) Trudności
w zrationalizowaniu i uporządkowaniu
osadnictwa polskiego na ziemiach odzys-
kanych.

Przebudowa społeczno-gospodarcza Pol-
ski Niepodległej dokonywana w trudnych
warunkach gospodarczych wymagać będzie
znacznej ofiarności i wysiłku ogółu na
rzecz przyszłości.

Tadeusz Krawczyk

Organizacja przemysłu w Polsce

Cechą charakterystyczną, rzucającą się
na pierwszy rzut oka obecnie w organizacji
przemysłu w Polsce, jest posunięta do
ostatnich granic centralizacja.

Cały przemysł łącznie z rzemiosłem
został podzielony na trzy zasadnicze grupy:
1) przemysł ciężki, do którego należą
wszystkie zakłady przemysłowe i górnicze,
zatrudniające zasadniczo ponad 50 pracow-
ników, 2) przemysł średni, który obejmuje
zasadniczo zakłady przemysłowe poniżej
50 pracowników uznane za ważne dla
państwa, 3) przemysł lekki, do którego
zalicza się zakłady przemysłowe poniżej 50
pracowników i uznane za nieważne dla
państwa.

Przemysł ciężki stanowi olbrzymią biuro-
kratyczną maszynę. I tak bezpośrednio
Ministerstwu Przemysłu podlegają Central-
ne Zakłady Przemysłu Hutniczego (siedziba
Katowice), Węglowego (Katowice), Metal-
owego (Warszawa), Budowlanego, Elektro-
technicznego, Chemicznego, Włókiennicze-
go, Cukrowego itd. Każdy z tych Central-
nych Zarządów danego przemysłu posiada
osobowość prawną i stanowi coś w rodzaju
olbrzymiego koncernu, obejmującego cały
przemysł danej gałęzi.

Centralny Zarząd Przemysłu Hutniczego
kieruje dwoma instytucjami państwowymi,
to jest Zjednoczeniem Przemysłu Hutnicze-
go, zajmującego się sprawami produkcji,

oraz Centralą Surowców Hutniczych, do której należy zaopatrzenie i zbył. Podobnie Zarządowi Przemysłu Węglowego podlegają: Centralne Zjednoczenie Przemysłu Węglowego (produkcja) oraz Centrala Zaopatrzenia i Zbytu Materiałów Przemysłu Węglowego.

Tym sposobem dyrekcje poszczególnych hut są podporządkowane w zakresie produkcji Zjednoczeniu Przemysłu Hutniczego, a w zakresie zaopatrzenia i zbytu Centrali Surowców Hutniczych. Natomiast w przemyśle węglowym istnieje jeszcze jeden stopień drabiny biurokratycznej. Centralnemu Zjednoczeniu Przemysłu Węglowego podlegają poszczególne Zjednoczenia Przemysłu Węglowego, np. Katowickie Zjednoczenie Przemysłu Węglowego, Dąbrowskie Z. P. W., Chorzowskie itd. itd., którym z kolei są podporządkowane dyrekcje kopalń. Całym zaś zbytem w przemyśle węglowym kierują wojewódzkie centrale węglowe (np. Śląska Centrala Węgla, Poznańska C. W. itp.), które podlegają Centrali Zaopatrzenia i Zbytu Materiałów Przemysłu Węglowego.

Aby lepiej sobie uprzytomnić tę całą skomplikowaną machinę administracyjną, podaję dla przykładu pełne nazwy jednej huty i jednej kopalni:

a) MINISTERSTWO PRZEMYSŁU
Centralny Zarząd Przemysłu Hutniczego
Zjednoczenie Przemysłu Hutniczego
Huta Kościuszkó

b) MINISTERSTWO PRZEMYSŁU
Centralny Zarząd Przemysłu Węglowego
Centralne Zjednoczenie Przemysłu Węglowego
Dąbrowskie Zjedn. Przemysłu Węglowego
Kopalnia gen. Zawadzki

(Huta Kościuszkó — Królewska Huta,
Kopalnia gen. Zawadzki — Kopalnia Paryż).

Inne gałęzie przemysłu mają strukturę organiczną podobną do obu kluczowych gałęzi wyżej wymienionych. I tak Centralnemu Zjednoczeniu Przemysłu Metalowego podlegają branżowe zjednoczenia przemysłu metalowego, np. Zjednoczenie Przemysłu Galanterijnego, Z. P. Druku i Wyrobów z Druku, Z. P. Gwoździ i Czar. nych Narzędzi itp. itp., których jest co najmniej kilkanaście (a może kilkadziesiąt), a którym dopiero z kolei są podporządkowane dyrekcje fabryk.

Wszystkie Centralne Zarządy, Centrale Zjednoczenia, Centrale, Zjednoczenia itp. są instytucjami pod względem admini-

stracyjnym bardzo rozbudowanymi, posiadają moc wydziałów, działów, referatów, dyrektorów, referentów i urzędników.

Kiedy np. fabryka drutu zamawia węgiel, to zamówienie z fabryki wędruje do Zjednoczenia Druku i Wyrobów z Druku, stamtąd do Centrali Węglowej w danym województwie, stamtąd do Centrali Zaopatrzenia i Zbytu Materiałów Przemysłu Węglowego, stamtąd do Zjednoczenia Przemysłu Węglowego Katowickiego (Dąbrowskiego lub innego), które wreszcie przekazuje zamówienie do wykonania kopalni. Rozliczenie odbywa się tą samą skomplikowaną drogą, przy czym wszystkie zamówienia muszą być poparte odpowiednimi załącznikami i w paru egzemplarzach. Efekt jest taki, że od chwili wysłania zamówienia przez jedną fabrykę do chwili otrzymania go przez zakład wykonywujący to zamówienie, upływa co najmniej parę tygodni, a przeważnie parę miesięcy. Dla przykładu podaję fakt, jeden z wielu, który miał miejsce na Śląsku.

Pewna fabryka otrzymała z pewnej kopalni zamówienie na wykonanie części wymiennych urządzenia kopalni. Zamówienie było niezwykle pilne, ponieważ kopalnia bez niego nie mogła być uruchomiona. Toteż co dzień interweniowano w fabryce w sprawie przyspieszenia wykonania zamówienia. Zamówienie zostało całkowicie wykonane w przeciągu kilku dni, przy pracy odbywającej się na trzy zmiany z tym, że do ostatecznego zakończenia tych części potrzebne były trzy małe wiertła cylindryczne. Oczywiście z chwilą otrzymania zamówienia z kopalni, dyrekcja fabryki wysłała natychmiast zamówienie na powyższe wiertła (przed wojną otrzymałaby je w przeciągu 15 minut). Mimo licznych interwencji ze strony dyrekcji fabryki i wszystkich instytucji, którym zależało na szybkim wykonaniu części urządzenia kopalnianego, wiertła zostały przygotowane do odbioru dopiero po dwóch miesiącach, przy czym okazało się, że plik załączników papierowych do zamówienia ważył niemal dwa razy tyle co same wiertła.

Nie mniej skomplikowaną maszynę centralistyczną — biurokratyczną przedstawia przemysł średni, na czele którego stoi Departament Przemysłu Miejscowego w Ministerstwie Przemysłu. Temu ostatniemu podlegają wojewódzkie Dyrekcje Przemysłu Miejscowego, którym z kolei są podporządkowane branżowe Zjednoczenia Przemysłu Miejscowego (np. Zjednoczenie Przemysłu Dyrekcji Przemysłu Miejscowego Województwa Śląsko — Dąbrowskiego itp.).

Dyrekcjom więc poszczególnych fabryk jest również odebrana cała strona handlowa i są one ograniczone faktycznie jedynie do administrowania danym zakładem pracy.

Wreszcie w przemyśle lekkim, na czele którego stoi „Min. Przemysłu, Departament Przemysłu Miejskowego, Wydział Przem. Prywatnego i Rzemiosła”, grupuje się cały przemysł prywatny, spółdzielczy i rzemiosło. Jednakże i ten przemysł jest całkowicie scentralizowany. Połączony bowiem został w wojewódzkie branżowe zjednoczenia Przemysłu Prywatnego i Spółdzielczego (względnie cechy w wypadku rzemiosła), które podlegają Izdom Przemysłowym i Rzemieślniczym. Trzeba tutaj wyraźnie stwierdzić, że ani Izby Przemysłowe i Rzemieślnicze, ani nawet cechy nie są instytucjami samorządowymi, lecz wyłącznie państwowymi, całe bowiem ich kierownictwo zostało zorganizowane na zasadzie nominacji. Należy również tu dodać, że przemysł spółdzielczy i prywatny, a zwłaszcza ten ostatni, praktycznie prawie nie istnieje (do stycznia br. w całym województwie śląsko — dąbrowskim nie było jeszcze ani jednego prywatnego przedsiębiorstwa przemysłowego).

Obok trzech wyżej wymienionych zgrupowań przemysłu w Polsce, istnieje jeszcze jedna forma organizacyjna, przejściowa w prawdzie, ale wywierająca wielki wpływ na życie gospodarcze Kraju. Formą tą jest tzw. „zarząd państwowy”, na czele którego stoi „Główny Urząd Tymczasowego Zarządu Państwowego” (taka właśnie absurdalna nazwa!), który podlega bezpośrednio Ministerstwu Skarbu, posiada osobowość prawną, i którego oddziały wojewódzkie są wydzielone z administracji ogólnej.

Teoretycznie Tymczasowy Zarząd Państwowy został powołany dla sprawowania zarządu nad majątkami opuszczonymi (to jest takimi, które „w związku z wojną rozpoczętą 1 września 1939 r. nie znajdują się w posiadaniu właścicieli, jego prawnych następców lub osób prawa ich reprezentujących”), oraz porzuconymi (tj. takimi, które „były własnością lub w posiadaniu państwa niemieckiego, a w chwili wejścia w życie niniejszego dekretu nie zostały jeszcze objęte przez organa państwowe lub samorządowe, majątek obywateli niemieckich lub osób, które zbiegły do nieprzyjaciela”). W praktyce jednakże rola tej instytucji okazała się jeszcze większa. Tymczasowy Zarząd Państwowy rozciągnął bowiem zarząd państwowy nie tylko nad wszystkimi przedsiębiorstwami przemysłowymi (interesuje nas tutaj tylko przemysł), które nie zostały natychmiast upaństwowio-

wione na ziemiach odzyskanych (po klęsce wrześniowej wcielone wprost do Rzeszy) i na ziemiach nowych (przylączonych w związku z nową granicą zachodnią), ale również nad znaczną częścią przedsiębiorstw prywatnych w dawnej tzw. „Generalnej Gubernii”.

Utworzenie T.Z.P. miało na celu wywołanie wrażenia, że po krótkim okresie uporządkowania życia gospodarczego wszystkie te przedsiębiorstwa zostaną bądź to reprivatyzowane, bądź to oddane w jakiejś formie przez państwo w ręce prywatne. W tym kierunku zresztą szedł pierwszy dekret o utworzeniu T.Z.P. Ale już ustawa KRN w tym przedmiocie oraz szereg zarządzeń wydanych następnie wraz z procedurą dotyczącą się reprivatyzacji i dzierżawy wykazały, że wszystkie przedsiębiorstwa przemysłowe, znajdujące się pod zarządem państwowym, są upaństwowione poza bardzo nielicznymi wyjątkami, czyli przechodzą do maszyny centralizacyjno — biurokratycznej przemysłu ciężkiego lub średniego.

Czy dzisiaj prywatne przedsiębiorstwo przemysłowe może egzystować w Polsce?

Już sam system podatkowy daje na to odpowiedź negatywną.

Weźmy dla przykładu przeciętny dochód miesięczny małego przedsiębiorstwa przemysłowego (1 do 2 wspólników). Aby mogło ono jako tako egzystować, musi mieć dochód miesięczny około 40.000 zł, czyli roczny dochód ca. 500.000 zł. Dekret wydany w dniu 23.X.1944 r. o zmianie ustawy o państwowym podatku dochodowym przewiduje dla takiego obrotu stopę procentową 40, czyli z 40.000 zł miesięcznego dochodu już 16.000 zł zabiera państwo. Jeżeli do tego dodamy dekret z 4. XI. 1944 r. o dodatku wojennym do podatku obrotowego, ustalonym na 100% podatku obrotowego, poczynsz od wymiaru za rok 1943 oraz całą gamę innych podatków (lokalowy, karty rejestracyjne, ewentualny czynsz dla państwa itp.), to dalsze komentarze są zbędne. A trzeba pamiętać o tym, że reżim posiada potężny argument przeciwko wszelkiemu rodzajowi nadużyciom, w postaci dekretu o zwalczaniu spekulacji i lichwy wojennej, z dnia 25. X. 1944 r.

„Kto świadomie żąda cen lub świadczeń wzajemnych, albo świadomie przyjmuje rzeczywiście nadmierne ceny, świadczenia lub ich obietnice za przedmioty powszechnego użytku lub usługi, albo za pośredniczenie w obrocie nimi — podlega karze więzienia do lat pięciu i grzywnie do 100.000 zł” (art. 12).

„Jeżeli sprzedawca wyrządził szczególnie

ciężkie szkody interesom publicznym w czasie wojny lub w wyjątkowych okolicznościach wojną spowodowanych, albo spowodował zaburzenie spokoju publicznego — podlega karze więzienia dożywotniego lub karze śmierci” (art. 14).

„Powiatowe władze administracji ogólnej są powołane do orzekania kary więzienia do 6 mies. i grzywny do 500.000 zł. Orzeczenie karno — administracyjne jest natychmiast wykonalne” (art. 1).

Jeżeli dzisiaj mimo istnienia tych dekretów i mimo wprowadzenia sądów powszechnych, spotyka się nadal w Polsce wiele nadużyć w istniejącym w stanie szczałkowym przemyśle prywatnym (np. stosowanie podwójnej księzkowości, sprzedaż wytworów na czarnym rynku po cenach wyższych od ustalonych przez państwo), spowodowanych absolutną niemożliwością pomieszczenia kosztów własnych produkcji w ramach cen oficjalnych, to tylko dlatego, że państwo na razie celowo nie ingeruje. Ingeruje zaś zawsze w tym wypadku, gdy zależy mu na unieszkodliwieniu danego przemysłowca czy rzemieślnika.

Niestychanie ważnym czynnikiem w centralizacji przemysłu w Polsce jest instytucja Rad Zakładowych. Powszechnie wiadomo, że Rady Zakładowe nie są wynalazkiem komunistycznym. Instytucja Rad Zakładowych została powszechnie przyjęta przez Kraj i znalazła swój wyraz w oficjalnym programie Rady Jedności Narodowej (patrz deklaracja RJN z 1944 r). Obecnie jednakże przez reżim jest propagowana jako „zdobycz świata pracującego”, która nastąpiła dzięki objęciu władzy w Polsce przez „stronnictwo demokratyczne klasy pracującej”.

Trzeba tutaj wyraźnie stwierdzić, że związki zawodowe i przedłużenia ich w dół — Rady Zakładowe nie są obecnie w Polsce instytucjami społecznymi, lecz państwowymi (komunistycznymi). Władze związków zawodowych zostały powołane na zasadzie nominacji, podobnie jak Rady Zakładowe. Ostatnio wprawdzie odbywają się wybory, ale są to wybory „sowieckie”, do czego jeszcze powrócimy.

Na podstawie dekretu z dnia 6. II. 1945 r. „Rada Zakładowa lub Delegat (w zakładach pracy poniżej 20 pracowników) ma prawo nadzoru nad urządzeniami technicznymi zakładu i magazynu. Uchwały Rady Zakładowej lub wnioski Delegata, dotyczące zmiany urządzeń technicznych, sposobu produkcji lub sposobu prowadzenia magazynów winny być podane do wiadomości pracodawcy po uprzednim ich zatwierdze-

niu przez właściwą władzę przemysłową lub górniczą. Rada Zakładowa lub Delegat współdziała z organami państwowymi lub Radami Narodowymi w zakresie kontroli społecznej nad działalnością gospodarczą zakładu”.

Artykuł powyższy oddaje Radzie Zakładowej faktyczne kierownictwo zakładem pracy we wszystkich dziedzinach, a kierownik (czy właściciel) zakładu pracy jest jedynie tymczasową siłą fachową, całkowicie zależną od Rady Zakładowej.

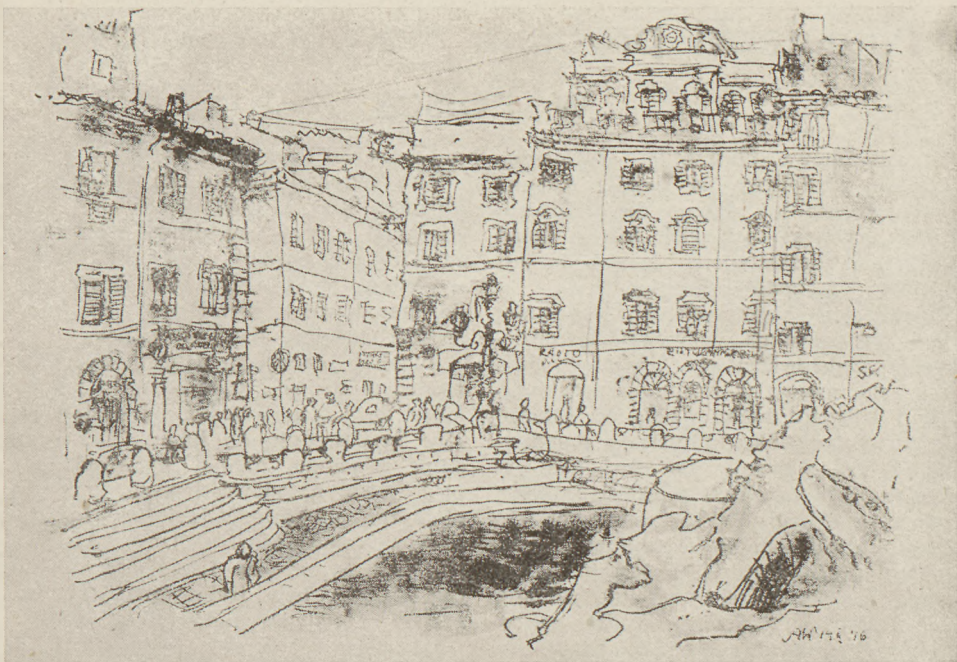
Nie ulega bowiem wątpliwości, że wszystkie decyzje Rady Zakładowej będą z reguły zatwierdzane przez władze państwowe, chyba żeby się okazało, że są sprzeczne z interesami PPR; w tym ostatnim wypadku kierownik zakładu pracy musi być narzędziem PPR.

Aby Rada Zakładowa mogła mieć całkowity wgląd w sprawy zarządzania zakładem pracy, dekret przewiduje, że w zakładem pracy pod zarządem państwowym lub samorządowym przedstawiciel Rady Zakładowej lub Delegat wchodzi w skład zarządu o ile zarząd ten jest wieloosobowy. Jak wspominałem na innym miejscu, przemysł prywatny prawie nie istnieje, a o wieloosobowości zarządu zakładu pracy decydują władze państwowe. W praktyce więc przedstawiciel Rady Zakładowej lub Delegat zawsze wchodzi w skład zarządu zakładu pracy.

Charakterystyczną rzeczą jest, że został zniesiony równocześnie obowiązek zachowania tajemnicy, o czym mówi następujący wstęp dekretu:

„Członkowie Rady Zakładowej oraz Delegaci obowiązani są do zachowania tajemnicy co do spraw, które stanowią tajemnicę techniczną lub handlową zakładu pracy. Obowiązek zachowania tajemnicy nie stosuje się do sprawozdań Rady Zakładowej lub Delegata, składanych organom państwowym lub Radom Narodowym, wynikających ze współdziałania Rady Zakładowej lub Delegata w zakresie kontroli społecznej”. Trzeba tutaj podkreślić, że instytucja Rad Zakładowych posiada to samo znaczenie na odcinku robotniczym, co reforma rolna na odcinku chłopskim. Tak jak potrzeba zastosowania obu tych reform nie budzi dziś w Kraju żadnych zastrzeżeń, to sposób ich wprowadzania powoduje nieobliczalne szkody dla gospodarki narodowej.

Jak już wspomnieliśmy, odbywają się obecnie wybory do Rad Zakładowych. Jest rzeczą charakterystyczną, że dotychczasowe wyniki tych wyborów wskazują na całkowitą klęskę PPR i jego zupełną nie-



Fontanna Trevi w Rzymie (Rys. Aleksander Werner)

popularność wśród robotników. Nie ma to wprawdzie znatenia praktycznego, jeśli zwycięstwo w wyborach odnosi PPS (fałszywe PPS lubelskie), które jest kierowane przez komunistów, ale ma wielkie znaczenie moralne i daje obraz nastrojów.

W Zagłębiu Dąbrowskim (które było zawsze uważane za bardzo skomunizowane) lekką przewagę w wyborach odnosi PPS (10 mandatów PPS, 6 mandatów bezpartyjni, 1 mandat PPR). Na samym Górnym Śląsku (który zasadniczo jest bardzo wrogo ustosunkowany do komunizmu i Rosji Sowieckiej) sytuacja PPR jest nieco lepsza (10 mandatów bezpartyjni, 4 mandaty PPR, 3 mandaty PPS). Ten paradoks należy tłumaczyć tym, że członkami PPR na Śląsku Górnym są przeważnie ci *volksdeutsche*, którzy mają zabagnioną swoją przeszłość i w ten sposób ratują swoją pozycję. Jednakże w jednej z największych hut na Śląsku, tj. Hucie Kościuszko (dawna Królewska Huta) podczas wyborów do Rady Zakładowej PPR nie otrzymało żadnego mandatu, a większość uzyskali bezpartyjni.

Wybory te jednakże jak już wspomnieliśmy są „sowieckie”, czyli w tym wypadku państwo ma zawsze możność zmienić ich wynik. Dekret bowiem o powołaniu Rad Zakładowych mówi, że „jeżeli Rada Zakładowa czy Delegat działają w sposób oczywiście sprzeczny z przepisami ustawowymi,

wtedy może komisja Pojednawczo — Rozjemcza przy Okręgowym Inspektoracie Pracy rozwiązać Radę Zakładową lub usunąć Delegata na wniosek Okręgowego Inspektora Pracy lub zarządu organizacji zawodowej pracowników obejmując dany zakład pracy”. A poza tym, ponieważ według dekretu „biernie prawo wyborcze przysługuje człowiekowi, który co najmniej od 3-ech miesięcy jest w danym zakładzie pracy, a członkiem organizacji zawodowej jest co najmniej od roku” (w chwili odbywania się wyborów do Rad Zakładowych nikt jeszcze nie był członkiem organizacji zawodowej od roku), każdego więc można pozbawić biernego prawa wyborczego.

Ramy niniejszego artykułu nie pozwalają na wyczerpanie całego zagadnienia. Pragniemy tylko podkreślić, że cały przemysł bez wyjątku w Polsce jest ujęty przez reżim w niezwykle silnie kleszcze, które stale się zaciskają.

Wśród ogromnego spadku produkcji, powszechnej nędzy, dodatni objaw, który możemy dziś zanotować, to stały wzrost solidarności między pracodawcą (niezależnie od tego czy jest nim urzędnik państwowy czy właściciel prywatny), a pracownikiem oraz brak popularności programu narzuconego przez reżim.

Antoni H.

Niemiecki problem narodowościowy w Polsce

Ostatnia mowa Churchilla, wygłoszona w Fulton, wydobywa na światło dzienne — zdawało się już dawno do archiwum odłożoną sprawę — jak wiele innych dotąd definitywnie niezakończoną. Sprawą tą jest zagadnienie zachodniej granicy Polski.

Mistrzowskie wykorzystanie tego momentu przez Stalina w wywiadzie udzielonym przedstawicielowi „Prawdy”, nie stanowi dla nikogo w Kraju niespodzianki. W tym bowiem duchu działa od samego początku propaganda administracji warszawskiej, która orientuje się doskonale w nastrojach społeczeństwa polskiego, sprawą granicy zachodniej Polski postępując się jako swoim najważniejszym atutem. Trzeba wyraźnie tutaj stwierdzić, że jest to jedyna sprawa, co do której wszystkie odłamy społeczeństwa i wszystkie ośrodki polityczne, legalne i nielegalne w Kraju, są zgodne z polityką reżimu. Różnica polega tylko na tym, że podczas kiedy przygniatająca większość społeczeństwa, stojąca na gruncie patriotycznym, uważa przyłączenie tzw. „ziem zachodnich” (Gdańsk, Prusy Wschodnie, Śląsk Opolski i Dolny, Ziemia Lubuska i Pomorze Zachodnie) za realizację celu wojny polsko-niemieckiej — elementy reprezentujące interesy sowieckie w Kraju usiłują to przedstawić jako kompensatę za stratę ziem wschodnich. Należy tu przypomnieć, że podziemna reprezentacja Kraju za czasów okupacji niemieckiej, Rada Jedności Narodowej, wielokrotnie deklarowała swe stanowisko zgodnie z opinią całego Kraju, że nie ma żadnego *tuncum* między problemami granic wschodnich i zachodnich Polski.

Z zagadnieniem granicy zachodniej wiąże się ściśle niemiecki problem narodowościowy w Polsce. Kształtuje się on całkowicie odmiennie w zależności od ziem, na których występuje.

Z grubsza rzecz biorąc, można podzielić go terytorialnie na trzy grupy, lecz i w ramach każdej z tych grup zaznaczają się daleko idące różnice.

Pierwszą z tych grup stanowią ziemie tzw. „Generalnej Gubernii”, gdzie polsko-niemiecki problem narodowościowy obecnie prawie już nie istnieje. Niemcy, którzy podczas okupacji napłynęli z Rzeszy na te tereny, albo zdążyli uciec, albo zostali wyłapani po wejściu wojsk sowieckich i deportowani lub zlikwidowani. Co do tzw. „*volksdeutsche*” zaś, którzy w „General-

nej Gubernii” rekrutowali się jak wiadomo albo z ludności niemieckiej, dawniej tutaj osiadłej, albo z „*volksdeutsche*” którzy napłynęli z ziem zachodnich, albo wreszcie ze zdrajców narodu polskiego, którzy ze względów oportunistycznych przyznali się do narodowości niemieckiej, to los ich spotkał podobny do poprzednich.

Zupełnie inaczej przedstawia się pod tym względem druga grupa ziem, to jest tych, które po klęsce wrześniowej zostały wcielone bezpośrednio do Rzeszy. Jak powszechnie wiadomo, Niemcy wprowadzili tam pięć grup narodowościowych, z których piątą nie posiadała żadnej listy narodowościowej (niewątpliwi Polacy), a czwartą posiadała wprowadzić listę narodowościową (nr 4.), ale była traktowana jako grupa pariasów (również niewątpliwi Polacy).

Do pierwszej grupy (lista nr 1) byli zapisani ci, którzy już przed wojną należeli do hitlerowskich związków niemieckich (niewątpliwi Niemcy).

Wreszcie listy nr 2 i 3 stanowią przeważnie Polacy miejscowi, którzy częściowo pod przymusem rzeczywistym, częściowo ze względów oportunistycznych wpisali się na te listy. Otóż administracja warszawska względem tych wszystkich „*volksdeutsche*” (nazwa niesłuszna) zastosowała zaraz na wstępie następującą politykę, później usankcjonowaną dekretemi: zapisanych na trzecią, czwartą i piątą listę narodowościową uznano za Polaków i zrównano ich całkowicie w prawach z Polakami; wpisanych na pierwszą i drugą listę uznano za Niemców z tym, że posiadacze drugiej *volkslisty* mogą się w drodze długiej, skomplikowanej i związanej z wysokimi kosztami — rehabilitować.

Ten mechaniczny podział jest słuszny tylko odnośnie pierwszej, czwartej i piątej listy narodowościowej. Co do drugiej zaś i trzeciej, to powoduje w konsekwencji dla sprawy polskiej wprost nieobliczalne następstwa. Znaczna bowiem większość bądź to prawdziwych Niemców, bądź to tych, którzy ze względów oportunistycznych zdradzili Naród Polski, zapisując się na drugą listę narodowościową i często wydajnie współpracując z władzami okupacyjnymi, postarała się na drodze nielegalnych kombinacji o dokumenty trzeciej listy narodowościowej. Wszyscy ci zdołali dzisiaj nie tylko ująć sprawiedliwości, ale wstąpiwszy do PPR czują się bezpiecznie i

mają nadal możność prowadzenia polityki wrogiej w stosunku do polskości. Jest to główny element, za pomocą którego działa dziś dywersja niemiecka w Polsce.

Tym sposobem tylko część ludności polskiej miejscowej (lista nr 3) została przywrócona do praw obywatelskich, podczas kiedy cały niemal element niemiecki i zdrajcy z tych praw w całej rozciągłości korzystają. Natomiast większa część ludności miejscowej polskiej (lista nr 2), zwłaszcza Ślązacy, traktowani są jako Niemcy, a będąc wrogo ustosunkowani do komunizmu i nie posiadając odpowiednich środków materialnych, mają nikłe widoki na rehabilitację (propaganda niemiecka, która ostatnio przejawia ożywioną działalność, ten moment doskonale wykorzystuje).

Odpowiedzialność za tę politykę reżimu ponosi „generał” Zawadzki, „wojewoda śląsko-dąbrowski” (dawny robotnik w kopalni „Paryż” w Zagłębiu Dąbrowskim, później ochotnik po stronie czerwonych w wojnie domowej hiszpańskiej, wreszcie mianowany generałem w Moskwie podczas okupacji niemieckiej), który spowodował wydanie dekretów „o wyłączeniu wrogich elementów ze społeczeństwa polskiego”, (podobno przekupiony przez Niemców).

Trzecią grupę stanowią ziemie przyłączone (przed wrześniem 1939 roku należące do Rzeszy), lecz etnograficznie polskie, a więc przede wszystkim Śląsk Opolski. Przeprowadzenie tutaj rozgraniczenia między elementem polskim a Niemcami jest jeszcze trudniejsze, ponieważ wszyscy mieszkańcy tych ziem posiadają dokumenty *reichs-deutschów*. Wszyscy też oni w okresie wejścia bolszewików na Śląsk ponieśli olbrzymie straty: rabunki, mordy, masowe gwałcenia kobiet (są powiaty, w których nie ma niemal ani jednej kobiety niezgwałconej), w następstwie choroby weneryczne, wreszcie wywiezienie w głąb Rosji większości młodych mężczyzn. Sprawa nadania tamtejszej ludności praw obywatelskich jest celowo przez reżim przeciągana. Już dziś staje się rzeczą widoczną, że podział na duże grupy narodowościowe, Polaków i Niemców, nie będzie na tych ziemiach przeprowadzony na rzeczywistej zasadzie narodowościowej, lecz na zasadzie politycznej, a mianowicie: polskie prawa obywatelskie otrzymają tam ci, którzy będą wygodni dla obecnego reżimu, resztę czeka wysiedlenie do Rzeczy względnie deportacja w głąb Rosji.

Wreszcie ostatnią grupę stanowią ziemie przyłączone (przed wojną nienależące do Polski), lecz etnograficznie niemieckie. Politykę narodowościową wobec Niemców

na tych ziemiach praktycznie prowadzi bezpośrednio armia czerwona. Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że wysiedla się z tych ziem Niemców nie—komunistów. Nie-rzadkie natomiast są wypadki powrotu na te ziemie Niemców komunistów i usuwanie osiadłych już tam w międzyczasie Polaków.

Całe ziemie zachodnie przedstawiają obecnie płynny obraz pod względem narodowościowym, jest to w pełnym znaczeniu „Dziki Zachód”. Na miejsce częściowo usuwanych Niemców (wśród których znajduje się też, jak już wyżej zaznaczyłem, duży procent niewygodnych dla reżimu Polaków) przybywają Polacy, przeważnie zza Bugu. Według oświadczenia oficjalnego, do listopada ub. roku zostało przesiedlonych z „zachodnich rejonów Litwy, Białorusi i Ukrainy” — 700 tys. Polaków. Ci ostatni przechodzą całą gehennę, podróżując czasem tygodniami, tułając się po „ośrodkach” P. U. R. (Państwowy Urząd Repatriacyjny), często obrabowani doszczętnie, aby wreszcie dostać się na miejsce przeznaczenia, gdzie najczęściej nie zastają nic prócz gołych ścian i to jeszcze nie zawsze (po wsiach gospodarstwa całkowicie obrabowane z całego inwentarza żywego i martwego, nawet z mebli; w miastach częściowo meble pozostały).

Wysiedleńcy (tzw. „repatrianci”) z Małopolski Wschodniej są kierowani na Śląsk Opolski lub Dolny, z województw północno-wschodnich do Prus Wschodnich i częściowo na Pomorze Zachodnie.

Obok Niemców i wysiedleńców trzecią grupę na ziemiach zachodnich stanowią osiedleńcy, to jest ci, którzy ochotniczo z Polski centralnej zgłosili się na wyjazd na zachód. Grupa ta składa się z dwóch elementów: a) ludzi, czujących się niepewnie politycznie, którzy pod przybranym nazwiskiem ukrywają się, b) ludzi zwabionych propagandą reżimu, obiecującą ziemię, gospodarstwa, mieszkania, warsztaty pracy itp. Ta ostatnia grupa jest nieliczna, po zapoznaniu się bowiem na miejscu z rzeczywistością, ludzie ci wracają do swoich domów „wyszabrowawszy” przed tym jeszcze to, co pozostało do wyszabrowania, względnie przenoszą swą „działalność” na inne tereny. Wśród ukrywających się, obok Polaków opozycyjnie nastawionych do reżimu, przebywa na „ziemiach nowych” duży procent *volksdeutschów*, *SS-manów*, czy nawet *gestapowców* z „Generalnej Gubernii”, którzy bądź to nie zdążyli uciec do Rzeszy, bądź to pozostali celowo dla prowadzenia roboty dywersyjnej, skierowanej przeciwko interesom polskim. Wszyscy ci Niemcy posiadają fałszywe

dokumenty polskie i stanowią oni główny trzon PPR na ziemiach zachodnich. Wreszcie należałoby tutaj jeszcze wspomnieć o osadnictwie „wojskowym” (czytaj „rosyjskim”, które rozwija się w pasie granicznym).

Obraz stosunków narodowościowych na ziemiach nowych byłby niepełny, gdybyśmy choć parę słów nie napisali o metodach wysiedlania Niemców. W chwili obecnej akcja ta odbywa się nadal, a uzyskanie na nią zgody ze strony Anglosasów, administracja warszawska potrafiła doskonale wykorzystać pod względem propagandowym. Społeczeństwo polskie w Kraju, jak już wspominałem wyżej, do sprawy wysiedlania Niemców jest nastawione zdecydowanie pozytywnie. Inną jest rzeczą, że Moskwa przy tej sposobności upiekła parę pieczeni. Obok wykorzystywania tej sprawy pod względem propagandowym w Polsce wyzyskała pretekst do deportacji niewygodnych dla siebie patriotycznie nastawionych elementów (wywozi się ich przeważnie w głąb Rosji w przeciwieństwie do Niemców prawdziwych, których wysiedla się do Rzeszy), wreszcie rozpuszczając pogłoski za granicą o rzekomych niehumanitarnych sposobach wysiedlania Niemców z Polski, wywołała interpelację w Izbie Gmin, co z kolei wykorzystuje dla akcji antybrytyjskiej w Polsce.

Ołóż musimy tutaj stwierdzić, że metody wysiedlania Niemców z Polski są nie tylko o całe niebo bardziej ludzkie niż te, które stosowali Niemcy wobec Polaków i niż te, które stosują Rosjanie na ziemiach wschod-

nich również wobec Polaków, ale są zupełnie humanitarne według poglądów panujących na Zachodzie. Najpierw wysiedla się Niemców, którzy dobrowolnie zgłaszają się na wyjazd, następnie rejestruje się wszystkich innych, przy czym przy rejestracji należy podać miejscowość, do której chce się udać w Niemczech; dzieli się ich według tego na grupy, pozwala się im zabrać tyle, ile mogą unieść ze sobą; termin wyjazdu zostaje podany przynajmniej na parę dni naprzód tak, że każdy ma możliwość wyprzedać się, wreszcie transportuje się ich do granicy pociągami (często skutkiem tego podróży polskich usuwa się z pociągów, pozostawiając ich na łasce losu, a pociągi opróżnione podstawia się dla Niemców). Jeżeli rabunki wśród wywożonych mają miejsce, to są one dokonywane głównie przez Rosjan i nie w większym stopniu niż normalne rabunki, dokonywane na Polakach.

Całą tą akcją ma być objęte 3,5 miliona Niemców (wśród tych i Polaków, niewygodnych dla reżimu).

Wydawać by się mogło, że po zakończeniu tej akcji zniknie zupełnie w Polsce niemiecki problem narodowościowy. Tymczasem w świetle powyższych faktów nie tylko to nie nastąpi i nie tylko pozostaną w Kraju silne kadry niemieckiej, dyszącej odwetem, ale w konsekwencji całej tej polityki Naród Polski straci dużo swej rdzennie polskiej ludności.

Wojciech Halicki

Zadania polskiej emigracji politycznej

Olbrzymia większość Polaków, którzy nie powracają do Kraju, znalazła się na obczyźnie przymusowo, zostaje dobrowolnie i świadomie. Ten fakt przetwarza luźne gromady ludzi całkowicie apolitycznych w zorganizowane zespoły, których postanowienie jest nie aktem, ale faktem politycznym. Doniosłość tego faktu polega na tym, że w niezwykłe trudnych i niesprzyjających warunkach, przy stałej silnej propagandzie za repatriacją, przy braku prymitywnych środków porozumiewania się, Polacy, wśród których około 97% to robotnicy, rolnicy i rzemieślnicy, do tego stopnia nie zgadzają się z obecną rzeczywistością w Kraju, iż decydują się zostać, jak dotąd „na los szczęścia” we Francji, Niemczech, Austrii itd.

Pierwszym zadaniem tej swoistej polity-

cznej polskiej emigracji jest nie stracić dwóch istotnych cech, jakie posiada, a mianowicie: masowości i przekroju społecznego. Nie jesteśmy garstką i nie jesteśmy „sekcją” i klasą wyzyskiwaczy, ale wielką gromadą ludzi pracy, którzy rozumieją, że zostając na obczyźnie pełnią służbę dla Ojczyzny.

Drugie zadanie — to przedstawianie prawdy o polskiej rzeczywistości i obrona prawdziwej polskiej racji stanu, czego w obecnych warunkach nie mogą dostatecznie czynić rodacy w Kraju.

Na trzecim miejscu należy postawić mocne poparcie, jakie masowa emigracja — przez fakt swego istnienia oraz przez jednolite niepodległościowe stanowisko — daje legalnym władzom Rzeczypospolitej, będącym właściwym ośrodkiem dyspozycji

politycznych. Wreszcie wydaje się, iż emigracja stanowić może przy odpowiednim działaniu rodzaj piorunochronu przed rozpanoszeniem się jeszcze bardziej totalnego terroru w Kraju.

OBLICZE EMIGRACJI I JEJ FORMY ORGANIZACYJNE

W większości krajów wysiedleńcy-Polacy zorganizowali ośrodki, w których przebywają; ośrodki te nawiązały łączność między sobą i wyloniły organa kierownicze. Formy organizacyjne są różne, natomiast stanowisko ideowe wspólne. Nie są ważne dla nas linie podziału według partii politycznych, natomiast oddzielamy od siebie wszelkich kapitulantów, wyodrębniamy elementy przesłepcze i aspołeczne, odrzucamy wszystkich, którzy w czymkolwiek zawinili przeciw Narodowi.

Zbliżamy się do chwili, w której będzie można uzewnętrznić formalnie faktyczną łączność, istniejącą między wysiedlonymi Polakami rozproszonymi po świecie i zamaniifestować jednolite stanowisko wobec istotnych zagadnień politycznych.

POLSKA EMIGRACJA W NIEMCZECH

Emigracja w Niemczech zorganizowana została w Zjednoczeniu Polskim, którego Radę Naczelną powołano do życia 27 stycznia 1946 roku. Obok tej ogólnej organizacji, opartej o zżeszzenia, skupiające w sobie samorządy lokalne, powstał związek byłych więźniów politycznych niemieckich

obozów koncentracyjnych, ponadto organizuje się społeczeństwo polskie w Niemczech w związki zawodowe jak: techników, prawników, rolników itp.

Uważamy się za częstkę kraju, oderwaną chwilowo fizycznie.

Nie czujemy się powołani do osądzania kogokolwiek, natomiast zdecydowani jesteśmy walczyć ze wszystkim, co uważać będziemy za sprzeczne z interesami Polski, za niezgodne z polską racją stanu.

Nie połączamy *a priori* przemian zachodzących Polsce, ponieważ nie tylko wrogie nam siły, ale i Naród sam wpływa na bieżące wypadki w Kraju. Wierzymy w szlachetność i rozsądek naszego Narodu i jesteśmy pewni, że w odpowiednim momencie ukształtuje On swe oblicze zgodnie z obyczajem i kulturą własną oraz na podstawie czystej chrześcijańskiej miłości bliźniego.

Czujemy się najbliższymi braćmi Polaków, którzy mają zaszczyt noszenia mundurów żołnierskich tu, na obczyźnie, stanowią Polską Armię i nieugiętością charakterów dają przykład znoszenia nawet najgorszej doli. Nie ugniemy się i my, aby razem powrócić — w przekonaniu, że pełniliśmy służbę bez przerwy — do wolnej Ojczyzny. To jest nasz cel, bo nie na obczyźnie, ale w Polsce chcemy żyć, chcemy umierać.

Zygmunt Rusinek

Prezes Rady Naczelnej
Zjednoczenia Polskiego w Niemczech

Dziennik podróży do Austrii i Niemiec

17 listopada

Mój wyjazd do Niemiec natrafia na niespodziane trudności. Amerykanie odnawiają przepustki. Muszę czekać na wynik interwencji, o którą proszę znajomych Francuzów.

Czekać... Nigdy zapewne słowo to nie miało tego znaczenia i zasięgu co dziś. Miliony osób zajęte są głównie czekaniem. Czekają na przepustki, na możliwość powrotu do kraju lub wyjazdu do ziemi obiecanej. Jeszcze liczniejsi nie mają dokąd jechać i czekają w ogóle; czekają pokoju; czekają lepszych czasów. Są jak chorzy, czekający poruszenia się wody, o których mówi Ewangelista.

Przy niedostatecznym odżywianiu i mroźnej pogodzie, zburzone miasta tracą szybko siłę przyciągającą. Wszędzie te same gruzы i zbieżeni przechodnie, te same okna

zabite deskami. Uchodźcy wracają wcześniej do swych baraków, kładą się na sienniki i czekają. Niektórzy opowiadają półgłosem swe przygody, inni zamykają oczy i marzą.

Mało kto zdaje sobie sprawę z przełomu, jaki odbywa się obecnie w zasadniczych postawach Europejczyków wobec życia. Od czasów Renesansu, Zachód cenit nade wszystko energię, przedsiębiorczość, wytrzymałość, zbiegliwość, zdolność do pracy. Początek obecnego stulecia ujrzał narodziny mistyki czynu. Myśl wydawała się wówczas jedynie ubocznym produktem czynu. Słowo „marzenie” ozdobiło się epitetem „czcze” lub „próżne”. Nawet u poetów wyrazy te kojarzyły się bez sprzeciwu:

Maudit soit à jamais le rêveur inutile...

Dziś, po latach gorączki pracy i niedorzecznych wysiłków, dziesiątki milionów obywateli kontynentu nie widzą rozumnego

celu dla swej działalności. Organizacja zbiorowa pracy zdaje się prowadzić wciąż przez te same etapy: przemysł, kryzys, zbrojenie, bombardowanie. Przedsiębiorczość prywatna, poprzez niezliczone przeszkody, pozwolenia na pracę, przepustki, reglamentacje, patenty, kontyngenty, poprzez tysiące podań i urzędów prowadzi do zablokowanego konta lub paczki banknotów, za które nie więcej kupić nie można i których posiadanie nie dostarcza żadnej niemal korzyści. Zresztą same warsztaty i możliwości pracy znikają. To, czego nie zniszczyły bomby, jest demontowane i wywożone. Nic nie powstaje na to miejsce. W miastach nie widać żadnej ekonomicznie użytecznej pracy.

Nie mogąc nic przedsięwziąć dla poprawy swego losu, miliony starają się w myśli przynajmniej uciec od otaczającego je świata. W niezliczonych barakach i koszarach, być może za każdym oknem zabitym deskami, leżą sienniki, a na nich, pod łachmanami koców, blade postacie mającząc zamkniętymi oczami. Kontynent przechodzi przymusową szkołę marzycielstwa.

Zmuszony — jak wszyscy — do czekania, zawijam się w śpiwór i zamykam oczy. Sąsiednie domy leżą w gruzach, ulica jest wymarła. Mroźne powietrze leży na niej bez ruchu. W półmroku słyszę tylko własny oddech.

Myślę, że w takiej ciszy emigranci słyszą szum swoich rzek. Wystarczy skupić się w pamięci, aby wśród setek innych poznać szum swojej rzeki. Każda z nich mówi innym językiem. Jedne huczą i dudnią, inne dzwonią po płytkim dnie, w innych słysząc bulgotanie wirów i szmer pian przesuwających się nad głębiną, w innych wreszcie woda jest niema.

Słowacki, który słyszał jak „źródła po murawach dyszą” i przez całe swe emigranckie życie niósł pamięć brzegów Ikwy, nie mówi nic o jej szumie. Dlaczego? Ikwa pod Krzemieńcem płynie spokojnie w szerokiej dolinie, wśród pól i łąk. Oddech jej wód ledwie słysząc wśród szelestów sitowia.

Szmer wód zależy od otaczającego rzekę krajobrazu, od konfiguracji jej brzegów i ich roślinności. Inny jest wśród drzew, inny na otwartej przestrzeni. Ulubiony przez Mickiewicza „ruczaj” jest taką samą onomatopoeją jak „cyrkało”, które na połoninach Pokucia oznacza źródło. W pierwszym słysząc mruczenie wody pod drzewami, w drugim — ciekłą strugę wody bijącej pod szczytem, wysoko nad granicą lasów.

Inaczej szumi Dniestr, płynąc w jarach

między stromymi zboczami o trawie krótko strzyżonej przez owce, inaczej Niemien, kiedy oddech jego wód bieli liście olchy i osiczyzny.

Dżwina toczy swe głębokie wody po czarnym dnie w milczeniu. Ledwie przy słupach mostów i pływakach wycierzy słysząc bulgotanie nurtu i plusk rzucającej się ryby.

Jeszcze bardziej nieme są rzeki Polesia, stojące w jesiennej mgle. Zamknawszy oczy, słyszę tylko wirujące w powietrzu liście, które z szelestem padają na brzeg lub milcząc zanurzają się w wodę.

W głębi pamięci odnajduję jeszcze szum Wilii pod Werkami. Czytałem jednak w przewodniku, że w Werkach jest dziś restauracja; szum rzeki miesza się więc zapewne z brzękiem talerzy.

Największą siłę magiczną posiada Czere-mosz, który spośród wszystkich rzek górskich sam jeden płynie w cieniu stuletnich jodeł i świerków. Wody jego pienią się wirtko w kamiennym łożysku, szemrząc na żwirowych mieliznach, dzwonią po kamieniach, bełkocą w cieśninach, huczą i dudnią w skałach, a każdemu z tych tonów, opóźniając się z lekka, wtóruje niskie, ciemne, basowe echo puszczy. Zdaje mi się, że gdybym ociemniały, stary, trawiony gorączką i obłędem, posłyszał znów ten szum, lata błędzenia po manowcach spadłyby ze mnie jak łachmany niedoli i stałbym się znów sobą.

Coś podobnego jest tematem powieści Jana Giraudou, gdzie młody Francuz, dotknięty amnezją, wychowywany jest na Niemca, nosi brode i kolorowe kalessony, a staje się znów sobą czytając jak łapia ryby w jego departamencie.

Być sobą, być sobą, — *this above all*, mówi Hamlet — można, zdaje się, tylko w jakiejś więzi, konkretnej czy idealnej, ze swoją rzeką, z krajobrazem swojej ściślejszej ojczyzny, rodzonej czy przybranej.

Czym będą miliony dusz wygnanych z ojcowizn przez mocarstwa, lub zamienionych — jak gniadosz na bułanka — w barbarzyńskich wymianach ludności? Będą dążyły z powrotem do miejsc pochodzenia, lub przestaną być sobą i — ku ucieście eksperymentatorów społecznych — stworzą plastyczną masę, podobną do tej, jaką Robert Ley wypełnił fabryki i obozy Rzeszy.

Kto wymyślił, że najważniejszą więzią łączącą ludzi jest wspólna mowa lub, biorąc rzecz ściślej, wspólny elementarz, z którego młodzi uczą się belferskiego języka urzędowego, wyjątkowego należycie z wyrazów obcych i wspomnień historycznych i mdłego jak poszna zupa? Dolej-

cież do niej przynajmniej trochę gwary koszarowej, aby nie zemdliło. Kto to wymyślił? To musiało wyjść z biurka i kałamarza urzędnika lub politycznego profesora. Na próżno szukać by podobnej myśli u Mickiewicza lub Słowackiego. Czym jest więź wspólnego języka wobec więzi, wynikłej z wspólnie znanej tajemnicy ziemi? Wspólność mowy nie zapobiega wojnom cywilnym, ile natomiast trzeba gwałtów i nieprawości, aby wywołać krótkotrwałą chociażby wojnę między mieszkańcami tej samej gminy?

Konfuzja pojęć wynikała zapewne stąd, że wspólność języka i pochodzenia terytorialnego pokrywały się zazwyczaj. Nikt dotąd nie widział ludzi sypanych na kupy oddzielnie według kryterium językowego. Aby to zobaczyć, trzeba było doczekać Hitlera.

Jedynym utworem napisanym po ukraińsku przez Gogoła był list do Bohdana Zaleskiego. Im dłużej myśleć o tej korespondencji, tym mniejszą wagę zdają się mieć sprawy językowe wobec tylu innych spraw zbliżających i oddalających ludzi od siebie.

Ile takich spotkań, zbliżeń i oddaleń musiało mieć miejsce w Polsce podziemnej i wieży Babel niemieckiej? Co myślą o tym tysiące Polaków, Litwinów i Ukraińców, których wspólny los zaprowadził do Niemiec? Co myśli o tym M., poeta ukraiński, z którym mam spotkać się jutro i który tak samo jak ja zna Prut i Złotą Lipę?

18 listopada

M. mieszka w jednym z licznych mieszkań emigranckich, w których każdy pokój daje przylulek jednej rodzinie. Z korytarza wchodzę do obszernego pokoju. Przy stole znajdują młodą kobietę i dwu młodych ludzi, zajętych bardzo porządnym śniadaniem. Po jednym z łóżek spaceruje gwarząc dwuletnia dziewczynka ze złotymi lokami, która narazie nie wychodzi z łóżka w braku butów. Na innym łóżku śpi na wznak w czarnym ubraniu mężczyzna lat 40, blady, z ciemnymi włosami spadającymi na czoło. To musi być M. Poznaję go po niezbędnej dla pisarza zdolności izolowania się. Proszę, aby go nie budzono, i rozmawiam na razie z młodymi. Obaj byli jesienią 1938 na Zakarpaciu i odtąd są wciąż w drodze: Praga, Bratysława, Wiedeń, Lwów, Kijów i znów Bratysława, Wiedeń. Po drodze bywali w niemieckich więzieniach i obozach koncentracyjnych. Mówią mi o zamknięciu granicy włoskiej i bawarskiej. Na wieszadle widzę trzy skórzane płaszcze podbite

lekkim futrem. Tak wygląda mundur dzisiejszego Ahaswera. Do tego plecak i wygodne buty. Nic więcej.

M. budzi się. Okazuje się, że drogi nasze krzyżowały się już nieraz w różnych miejscach. M. jest od 25 lat emigrantem. Ostatnim krajem, gdzie miał możliwość spokojnej pracy przez kilka lat, była Słowacja. Po każdym przymusowym wyjeździe przestawał pisać i myślał, że rozstał się na zawsze z literaturą, ale po pewnym czasie zaczynał pisać znów. Obecnie ma cały zbiór nowych wierszy i rozpoczęła powieść.

Na oknie widzę katalog lwowskiego Ukraińskiego Wydawnictwa, którego nakładem w 1942-43 ukazało się kilkaset tomów, obejmujących dzieła wszystkich wybitniejszych pisarzy współczesnych, galicyjskich i naddnieprzańskich. Przeglądam go z żywym zainteresowaniem. W tych latach i tych warunkach, kiedy znaczna część inteligencji ukraińskiej przeszła już była na nielegalność i brała udział w ruchu partyzanckim, żaden z ludów kontynentu nie zdobył się na podobny wysiłek literacki i wydawniczy. Znaczna część nazwisk jest dla mnie nowością. Mówimy o współczesnej poezji ukraińskiej i jej parnasizmie. M. ofiarowuje mi egzemplarz *Kameny* i *essayów* Mykoły Zerowa.

— Mnie żadne książki nie są potrzebne. Cały mój bagaż powinien się zmieścić w plecaku, gdzie mam już kilka rękopisów.

Wobec słonecznej pogody M. zabiera mnie na cały dzień w góry. Idziemy przez miasto, potem wspinamy się powoli ku ośnieżonemu, jarzącemu się w słońcu wzgórzom.

W rozmowie odsłania się przede mną pomału odrębna struktura emigracji ukraińskiej. W odróżnieniu od innych emigracji kontynentalnych, emigracja ta nie ma charakteru uchodźstwa wojennego, o którego składzie zdecydowała bliskość granicy lub posiadanie banki benzyny. Ukraińcy cofali się przez 25 lat w porządku z Ukrainy do Polski, z Polski i Zakarpacia do Czech i Słowacji, stamtąd do Austrii i Niemiec. Na emigrację wyszła cała ich inteligencja. Nieliczni, pozostali w kraju pisarze, bądź skrywają się u partyzantów, bądź — jak Ryłski — muszą w asyście policji wygłaszać na wiecach mowy przeciw „bandytom”. Dzięki obecności inteligencji, na każdym etapie odwrotu mogły natychmiast powstawać komitety obywatelskie, szkoły, uniwersytety, czasopisma, firmy wydawnicze, księgarnie, przenoszone coraz dalej na Zachód. Nawet w Innsbrucku istnieje już ukraińska księgarnia.

W tych warunkach wychowały się już dwa pokolenia inteligencji ukraińskiej w pochodzie. Wydaje się, że w tej chwili Ukraina posiada najbardziej niezależną inteligencję w Europie. Wychowały ją w niezależności zsyłki sowieckie, areszty węgierskie, rumuńskie i obozy koncentracyjne niemieckie. Kto przeszedł tę szkołę, mało zależy już od ogrzewanego mieszkania, stałego uposażenia, biblioteki i innych korzyści, jakie przynoszą kompromisy i kolaboracje.

Przychodzi mi na myśl, że parnasizm poetów ukraińskich pochodzi, być może, z tęsknoty tułaczy do tego, co w literaturze jest najbardziej stałe i ciągłe, z potrzeby przemyslenia na nowo Wirgiliusza i Horacego, których wiersze nosi się więcej w pamięci niż w plecaku. Mimo woli porównuję produkcję tych — obecnie wszędzie nielegalnych — pisarzy z chudą i naiwną literaturą francuskiej Résistance z tychże lat, czerpiącą przecież z najbogatszej rezerwy literackiej naszych czasów.

Moje wczorajsze refleksje o magicznej sile rzek i lasów okazują się słuszne. Z M.

i jego współlokatorami rozmawiamy jak starzy znajomi. Nie dzieli nas żadne wspomnienie 27 lat sporów i wojny polsko-ukraińskiej, w tej chwili dla strony polskiej i ukraińskiej całkowicie przegranej. Pisząc te słowa słyszę jeszcze ich jasne, życzliwe głosy.

Po paru godzinach marszu trafiamy z M. do górskiego hotelu, posiadającego jeszcze trochę starych zapasów. Jemy tam za półtora marki dość chudy obiad i pijemy prawdziwą kawę z cukrem. Marka zachowała więc swą siłę kupna i czeka tylko na pojawienie się towarów. Zjawiska inflacyjne szerzą się jedynie w najbliższym sąsiedztwie władz okupacyjnych, emitujących pieniądze i zasilających czarny rynek z rezerw intendencji (*).

Paweł Hostowiec

*) Drukowany powyżej fragment „Dziennika podróży do Austrii i Niemiec” stanowi część większej całości, która ukaże się niebawem w wydaniu książkowym (Redakcja).

W KRAJACH MIĘDZYMORZA

Oblicze ideowe komunizmu greckiego

Orientacja w życiu politycznym i gospodarczym Grecji nasłuchuje zazwyczaj dla cudzoziemca wielkie trudności ze względu na nieodpowiednie podejście do tego zagadnienia. Cudzoziemcy, rozpatrując sytuację polityczną Grecji, popełniają przeważnie jeden błąd zasadniczy: podchodzą do spraw greckich z punktu widzenia warunków istniejących w ich własnym kraju. Gdy się mówi o partiach lewicowych lub prawicowych, o komunizmie i kapitalizmie, o reakcji i postępie, rozpatruje się to wszystko przez pryzmat faktów, odpowiadających wydarzeniom w tym kraju, z którego dana osoba pochodzi, używając nieraz tych samych definicji i sposobów myślenia. Jeżeli, na przykład rozpatrujemy zagadnienie komunizmu w Grecji, to ono będzie posiadało całkiem inny charakter, aniżeli w jakiegokolwiek innej części świata. Rzeczywistość Grecji jest całkiem inna, ponieważ w tym kraju wszystkie partie czy to lewicowe, czy też prawicowe mają te same poglądy na zagadnienia ekonomiczne i socjalne. To zjawisko tłumaczy się tym, że członkowie danych partii pochodzą z rozmaitych warstw społecznych.

STRUKTURA SOCJALNA NARODU GRECKIEGO

Struktura socjalna narodu greckiego nie posiada tzw. kontrastów, jak to ma miejsce w krajach Europy Środkowej i Zachodniej. Nie istnieje tu ani proletariatus ani kapitalizm w ścisłym tego słowa znaczeniu. W Grecji nie istnieją ani wielka własność ziemska, ani wielki przemysł. Grecja jest krajem biednym, bez bogactw naturalnych czy też nabytych. Jest to kraj niewielkich zakładów przemysłowych, drobnych rzemieślników, urzędników, małej własności ziemskiej i to nieraz podzielonej już do tego stopnia, że właściciel nie jest w stanie zaspokoić swoich najelementarniejszych potrzeb egzystencji. Są to fakty niezbitte. Potwierdzają to w całej pełni dane statystyczne, które aczkolwiek pochodzą z roku 1935, doskonale jednak orientują w strukturze socjalnej tego kraju, ponieważ nie zaszły w ostatnich czasach większe zmiany w układzie ekonomiczno-społecznym narodu greckiego.

WALKA ŚWIATOPOGŁADÓW ELAS — EAM PRZECIW NARODOWI

Podłoże ideowe komunizmu greckiego nie jest więc oparte na klasycznej teorii walki klas, ponieważ praktycznie biorąc klasy te w Grecji nie istnieją. Jakie jest więc pochodzenie komunizmu greckiego, oraz podstawy i to jego rozwoju? Na to pytanie nie będzie trudno odpowiedzieć. W ogólnych zarysach możemy stwierdzić, że komunizm w Grecji wywodzi się z czysto teoretycznej walki światopoglądów, zachodzącej w społeczeństwie greckim, która to walka jest wykorzystywana i podsycana z wielką troskliwością przez mocarstwo ościenne, dążące przez Grecję do uzyskania dostępu do „ciepłych mórz”. Na początku obecnej wojny komunistyczna partia grecka, która składała się z nielicznych grup idealistów, została wzmocniona napływowymi elementami z Kominternu, które zmieniły dotychczasowe podstawy ideowe, swoisty charakter tej partii, skierowując ją na tory bardziej praktyczne, jakimi miało być zorganizowanie ruchu oporu przeciwko Niemcom. Jednak, jak się okazało, było to jedynie zamaskowanie właściwego celu, którym miała być nie walka przeciwko okupantowi, lecz zorganizowanie sił do zdobycia władzy w Grecji po wycofaniu się wojsk niemieckich. Grecka partia komunistyczna rozpoczęła organizowanie swoich sił w ramach „Narodowej Armii Wyzwolenia”, czyli tzw. ELAS'u. Żołnierze „Narodowej Armii Wyzwolenia”, którzy ochotniczo zgłaszali się do jej szeregów, z gorącym życzeniem walki przeciw Niemcom, do ostatniej chwili nie wiedzieli przeciwko komu mają być użyci. Dopiero w przeddzień wybuchu rewolucji 10 grudnia 1944 r. oświadczone im, że Anglicy przybyli do Grecji w celu jej ujarzmienia, mając za sobą poparcie w miejscowych partiach prawicowych. To stanowi wyłumaczenie zjawiska, dlaczego bandy ELAS'u—EAM'u walczyły z taką zaciekłością przeciw Anglikom i przeciwko większości swego narodu. Richard Cappel w jednym z grudniowych numerów „The Daily Telegraph” podkreśla, że ruch oporu ELAS przez cały czas trwania wojny, gromadził broń i amunicję, z myślą wyeliminowania w odpowiednim czasie swoich przeciwników politycznych. Dobrze poinformowani wiedzieli, że w końcu lata 1943 roku ELAS, czyli koalicyjna armia lewicy (zwana także EAM) opanowana przez komunistów, pozostawała w ścisłych stosunkach z innymi bandami ukrywającymi się w górach.

Po upadku Włoch, jesienią 1943 r. wybuchła w Grecji rewolucja, ponieważ przywódcy EAM—ELAS'u doszli do przekonania, że klęska Niemiec nie jest dla nich znacząca, gdyż bardziej znaczące będzie zdobycie władzy w Grecji powojennej. Podczas tego powstania, ELAS — EAM walczył z o wiele większym zapałem przeciw swoim przeciwnikom politycznym, aniżeli przeciw Niemcom. W czasie tych walk bandy ELAS'u dokonały napadu na brytyjską misję wojskową, mordując kilku oficerów angielskich.

Anglicy doskonale zdawali sobie sprawę z sytuacji panującej w Grecji, czego dowodem może być meldunek złożony przez gen. Scobie tuż przed wybuchem drugiej wojny domowej w roku 1944. Meldunek ten brzmiał w sposób następujący: „Sami Grecy stwarzają ogromną przeszkodę w odbudowaniu ich własnego kraju. Przyczyna tego tkwi w szalonym rozpolitykowaniu, które doprowadziło ich do zorganizowania ruchu oporu na podstawach czysto partyjnych z jak najgorszymi wynikami pod względem wojskowym.

Powstanie Greków samo w sobie, w logicznej konsekwencji doprowadziłoby do wojny domowej, która napewno zakończyłaby się zwycięstwem armii ELAS'u, bardziej licznej i lepiej zorganizowanej politycznie”.

Pomimo takich meldunków, wybuch rewolucji grudniowej (1944 r.) stanowił poważną niespodziankę dla wojsk brytyjskich, które nie przypuszczały, że ELAS zdobędzie się na walkę przeciw Anglikom, jak i dla ELAS'u, który był przekonany, że Anglicy nie wystąpią przeciw niemu.

Gdyby przywódcy ELAS'u wiedzieli o tym, że wojska brytyjskie rozpoczną walkę przeciwko oddziałom armii oporu, niewątpliwie żadnej rewolucji nie byłoby.

DLA ZDOBYCIA WŁADZY

Podczas gdy w Kairze formował się koalicyjny rząd grecki z premierem Papandreu na czele w przewidywaniu bliskiego już wyzwolenia Grecji od Niemiec, gen. Serafis, dowódca ELAS'u oraz inni przywódcy komunistyczni, pomimo zapewnienia rządu o mającym nastąpić „referendum” w sprawie ustrojowej, przygotowali się do objęcia władzy przed powrotem rządu do kraju. Stawało się jasne, że ELAS nie ma żadnego zamiaru oczekiwać na „referendum”. Historia rządu Papandreu w przeddzień wybuchu „puczu” może być określona jako linia ciągłych ustępstw na rzecz lewicy.

Bezpośrednią przyczyną wybuchu tej rewolucji był dekret rządu — w skład którego wchodził także przedstawiciel ELAS'u — rozwiązujący siły policyjne tej organizacji. ELAS jak wiadomo odrzucił te postanowienia rządowe, a ministrowie „ruchu oporu” podali się do dymisji. W nocy 2-go grudnia oddziały ELAS'u wkroczyły do Aten, rozpoczynając atak na policję rządową i oddziały wojska. Jaki był dalszy przebieg tej słynnej rewolucji, jest powszechnie wiadomo. Wystarczy wspomnieć, że oddziały brytyjskie w walce z ELAS—EAM poniosły dotkliwe straty. Dzięki interwencji angielskiej, przytłaczająca większość narodu greckiego została uratowana przed ambicjami mniejszości o wyraźnych tendencjach totalistycznych.

„Jakie były ich metody wobec swoich przeciwników, łatwo sobie wyobrazić, jeżeli przypomnimy sobie ich walki przeciw narodowcom z „*Andartes*” — pisze Cappel. Okrucieństwa przez nich popełniane w czasie trwania rewolucji grudniowej, były strasznym ostrzeżeniem dla Greków na wypadek, gdyby w tym kraju utrzymał się rząd ELAS—EAM”.

EWOLUCJA SYTUACJI POLITYCZNEJ

Druzgocąca klęska, którą poniósł ELAS w swoich dyktatorskich rządach, wywołała, jak to zwykle w takich wypadkach bywa, silną reakcję ze strony rządu i całego społeczeństwa greckiego. Do głosu doszły partie prawicowe, pod naciskiem których rząd przystąpił do likwidacji resztek band komunistycznych. Silne i zdecydowane stanowisko polityki brytyjskiej wobec Grecji, jako kraju, którego posiadanie w strefie wpływów W. Brytanii jest niezbędne dla całości i bezpieczeństwa Imperium, doprowadziło do uspokojenia opinii publicznej w Grecji, oraz do pewnej normalizacji stosunków wewnętrznych. ELAS zaczął masowo tracić swoich sympatyków tak, że w chwili obecnej Grecka Partia Komunistyczna faktycznie nie posiada już swoich sił zbrojnych.

Obecny rząd grecki, w którym większość stanowią przedstawiciele kierunków republikańskich rozmaitych partii greckich, zdołał doprowadzić kraj do względnego uspokojenia. Programem dnia rządu Sophulisa stała się zasada „odbudowy i podniesienia gospodarczego Grecji”. W tym kierunku rząd nie napotyka na poważniejsze trudności ze strony partii politycznych Grecji; są one zgodne co do planu gospodarczego, opracowanego przez komitet ministerialny.

Objawem potępszenia się stosunków wewnętrznych kraju, a zatem i pozycji międzynarodowej Grecji, jest uzyskanie pożyczki zagranicznej na dość wysoką sumę, chociaż bliżej jeszcze nieokreśloną. Natomiast w polityce wewnętrznej rząd stał się przedmiotem ataków zarówno ze strony skrajnej lewicy, jak i prawicy. Obydwie strony żądają rozszerzenia podstaw rządowych — oczywiście każda na swoją korzyść. Jednak Sophulis odrzucił te żądania, utrzymując nadal republikańską strukturę rządu, w którym większość stanowią przedstawiciele partii liberalnej, której ostatnio prezesem został Sofocles Venizelos. Z punktu widzenia socjalnego partia ta, będąca jedną z najstarszych i najsilniejszych w Grecji, wprowadziła w życie cały szereg zasad socjalistycznych już wówczas, gdy socjalizm nie przybrał jeszcze wyraźnej formy politycznej i nie rozprzestrzenił się w Europie.

Jak wyżej wspomniałem, wywłaszczenie wielkich majątków ziemskich w Grecji było dziełem liberałów. Także prawo o pracy (prawo socjalne) zostało wprowadzone w Grecji wówczas, gdy jeszcze nie mogło być mowy o istnieniu przemysłu greckiego. Podstawą programową liberałów greckich na odcinku życia gospodarczego jest wzmożenie produkcji narodowej, oraz podniesienie stopy życiowej ludności. We współpracy z innymi partiami stronnictwo liberałów znajduje wspólne podstawy, bez względu na te czy inne ideologie, które cechują daną partię. Takiej współpracy liberałowie nie posiadają tylko ze strony partii komunistycznej. Ciekawy sąd o istocie i celach komunistów greckich (w ogólności) wydają sami liberałowie.

„*Le Messenger d'Athenes*” z dnia 11 grudnia 1945 r. pisze:

— „Jest błędem uważać, że partia komunistyczna (K. K. E.) jest partią polityczną, ponieważ pierwszym warunkiem istnienia partii jest służenie swojej ojczyźnie. K. K. E. stanowi sfalszowanie idei komunistycznej od czasu jej powstania. Partia komunistyczna jest negacją i profanacją świętej idei demokracji. Jest ona gorszą formą, aniżeli faszyzm... Jej polityka od chwili okupacji niemieckiej musi być uznana za antynarodową”.

MONARCHIA „ZBAWIENIEM” GRECJI?

Ten stan ciągłego strachu przed nową rewolucją i masakrą powoduje, że większość narodu greckiego zaczyna szukać w monarchii zbawienia przed zmorą komunizmu. Zwłaszcza nowe próby ELAS'u ustanowienia swoich rządów w północnej

Grecji, oraz interwencja jego przedstawicieli w W. Brytanii u „Labour Party” zdwoiła obawy społeczeństwa przed nową akcją żywiołów komunistycznych. Jednak jak się okazało, interwencja *leaderów* komunistycznych w Londynie skończyła się kompletnym fiaskiem. Komunistyczny „The Daily Worker” z dnia drugiego lutego br. zamieścił artykuł, w którym występuje w obronie „demokracji” greckiej, która została zniszczona przez politykę brytyjską. „Grecja — pisze dalej „Daily Worker” — jest dziś „państwem zależnym — wojskowo okupowanym przez Anglię i przez nią rządzonym”. Obecność Anglików w Grecji spędza sen z powiek nie tylko komunistom greckim, ale także angielskim, którzy oskarżają otwarcie władze wojskowe brytyjskie, że popierają one w tym kraju „terror faszystowski — monarchiczny”.

Oskarżenia te, jak się wydaje, były całkowicie pozbawione podstaw.

Rząd grecki złożył oświadczenie, że posiada dosyć sił na stłumienie zamachów z jakiegokolwiek strony one by pochodziły. „I tak, skoro wybuchły lokalne zamieszki na Peloponezie, spowodowane przez skrajne żywioły prawicowe i monarchiczne — zostały one z miejsca stłumione. Pomimo tego, że rząd obecny niewątpliwie okazał się na wysokości zadania, doprowadzając kraj do względnego spokoju, to jednak nie jest on zbyt popularny ze względu na jednostronny swój charakter wyłącznie republikański, prawie monopartyjny. Walka przeciwko niemu, a ściślej mówiąc przeciw dyktatorskim zapędom partii libe-

ralnej, jest prowadzona usilnie. Wybory, które odbyły się dnia 31 marca br. pod ścisłą kontrolą aliancką (przedstawiciele 3-ech mocarstw), przyczyniły się już niewątpliwie do wyjaśnienia sytuacji w tym kraju.

Jedno jest niewątpliwe — że komuniści nie tylko, że w nich nie zwyciężyli, lecz zajęli jedno z ostatnich miejsc. Tym się też tłumaczyła ich gra polityczna polegająca na niebraniu udziału w wyborach i na żądaniu ich odroczenia. Zajęcie takiego stanowiska przez partię komunistyczną pozwoli im na występowanie w roli „obrońców zasad demokratycznych”, a jednocześnie jako ofiar polityki brytyjskiej.

Walka wyborcza w tym kraju rozwinęła się na płaszczyźnie ustrojowej:

— MONARCHIA, CZY REPUBLIKA ? —

Ostatnie wyniki wyborów w Grecji zapewniły monarchistom (czyli partii ludowej) przytłaczającą większość około 200 miejsc na ogólną liczbę 350. Partia liberalna oraz Unia Narodowa poniosły drugoczną klęskę. Należy przypuszczać, że nowy rząd o charakterze koalicyjnym z przewagą monarchistów zostanie utworzony przez Tsaldarisa, obecnego przywódcę partii ludowej.

Niewątpliwie jednym z głównych zadań rządu Tsaldarisa będzie przygotowanie drogi do powrotu Jerzego II poprzez referendum ludowe, które według wszelkich cech prawdopodobieństwa, wypadnie dla niego pomyślnie.

Michał Janiszewski

Sowietyzacja cerkwi rosyjskiej

Rok już minął od chwili wyboru nowego „prawosławnego” patriarchy „moskiewskiego i Wszechrosji” — Aleksego. Patriarcha Aleksey nie zmarnował czasu: — rozwinął energiczną działalność reorganizacyjną, którą niestety nie można nazwać inaczej, jak pracą nad sowietyzacją całego życia prawosławnej cerkwi w Rosji.

Zasadniczą cechą tej reorganizacji jest systematyczne odbieranie strukturze cerkwi wszelkich demokratycznych elementów. Począwszy od 1917 roku cerkiew rosyjska była w posiadaniu konstytucji, nadanej jej przez „Wszechrosyjski Sobór Cerkiewny”; pod wpływem panujących wówczas pojęć, konstytucję rozbudowano na względnie demokratycznych podstawach: — wszyscy wierni przynależni do danej cerkwi —

tworzą „wspólnotę”, która ma prawo wyboru duchowieństwa na dany obszar; zebranie wydelegowanych członków szeregu wspólnot wraz z przedstawicielami duchowieństwa jest upoważnione do wyboru biskupa dla całego województwa; wszechrosyjskie zgromadzenie biskupów wraz z przedstawicielami niższego duchowieństwa i delegatami wspólnot wybiera patriarchę.

Antyreligijne prześladowania i brutalna agitacja ateistyczna przeszkadzały normalnemu funkcjonowaniu tej konstytucji, ale represjami doprowadzono do bardzo ścisłego i pełnego zaufania związku między duchowieństwem i wiernymi. (Prześladowano jednych i drugich). Dzięki temu mianowanie gdziekolwiek bądź duchownego lub biskupa nie mającego w pełni zaufania u

wiernych stało się w praktyce niemożliwością.

Podczas ostatniego soboru, który wybrał patriarchę Aleksiego (luty 1945 r.), demokratyczna cerkiewna konstytucja, o której była mowa powyżej, została zamieniona nową, zmieniającą całkowicie obraz przyszłości: patriarcha nadano prawo mianowania biskupów, a biskupom—niższego duchowieństwa. Dzięki temu wpływy wiernych zostały ograniczone do minimum. Wszechrosyjskie sobory dla wyboru patriarchy pozostawiono, lecz w formie, jak można sądzić: z instrukcji przeznaczonych dla soboru, przetworzonej w komedię, rozgrywaną według przygotowanego wcześniej scenariusza.

Patriarcha — to na pozór absolutny, dyktatorski władca całej rosyjskiej cerkwi prawosławnej, dyktator-marionetka, albowiem prawdziwe rządy sprawuje stojący za jego plecami przedstawiciel władzy państwowej—przewodniczący specjalnego „komitetu dla spraw prawosławnej cerkwi”.

Takim „obserwatorem wiary” jest obecnie Grzegorz G. Karpow—stary komunista i znany bojownik bezbożnictwa, niegdyś pracujący w charakterze jednego z przewodniczących wydziału GPU — ma nadzór nad cerkwią. Ani jeden dokument nie opuści kancelarii patriarchy, redakcja którego nie będzie sprawdzona, zatwierdzona i podpisana przez tow. Karpowa. Pełnomocnicy G. G. Karpowa są przydzieleni do każdego biskupa prowincjonalnego i posiadają równą mu pełnię władzy, z której korzystają bardzo ostrożnie i sprytnie, nie afiszując się. Karpow określany jest przez obecne władze duchowne jako „człowiek prawy i nie nadużywający swej władzy”.

Według podstawowych zasad sowieckiego społeczeństwa, władza państwowa musi sprawować kontrolę i posiadać wgląd w każdą dziedzinę życia i we wszystkie jego przejawy—również kontrola nad cerkwią prawosławną odbywa się bardzo dokładnie i nie mniej drobiazgowo, jak i nad innymi dziedzinami lub organizacjami. G. G. Karpow i jego pełnomocnicy są oficjalnymi, wyznaczonymi przez państwo łącznikami cerkwi z organami władz sowieckich. Stosunki te są bardzo skomplikowane i nie mniej różnorodne. Cerkiew posiada swój określony budżet, w skład którego (jako jedna z najważniejszych pozycji), wchodzi szereg dotacji ze strony państwa. Ale w państwie sowieckim, gdzie wszystko należy do państwa i jest jego wyłączną własnością, samego budżetu pieniężnego nie wystarczy. Zadaniem więc Karpowa i jego kancelarii jest dostarczyć i zaopatrzyć cerkiewną

organizację we wszystko, co jest konieczne dla jej prawidłowego funkcjonowania: — od drogocennej mitry patriarchy do obuwia dla duchowieństwa, od oleju do lampek oliwnych przed ikonami do pożywienia dla domu patriarchy... Na przykład po zakończeniu soboru zorganizowano „braterską wieczerzę” dla uczestników. Wszystkie produkty żywnościowe były dostarczone ze specjalnych, uprzywilejowanych, państwowych magazynów rozdzielczych — na wyraźny rozkaz Karpowa. Uroczystość udała się znakomicie: bo to i wypić było co i zjeść do syta — nastrój przyjemny, a towarzysz Karpow, nieoficjalnie, tylko jako „zaproszony gość”...

Specjalną uwagę i troskliwość zwraca państwo proletariatu na zewnętrzne urządzenia i wygląd cerkwi. Bez względu na ciężkie, wojenne czasy odnawia się z nakładem dużych kosztów budynki i świątynie, posłaca kopuły, odświeża ikony, a z zapasów, które zachowały się w muzeach, oddaje cerkwi stare ikony; wszyscy duchowni zostali zaopatrzeni w odpowiednie, bogate, dobrze utrzymane szaty liturgiczne; biskupi otrzymali wspańnię mitry, wysadzone prawdziwymi, drogocennymi kamieniami. Znikł typ duchownego, który źle ubrany, w dziurawych cholewach i z pieczęcią wiecznego głodu na twarzy, był tak pospolitym widokiem jeszcze pięć—sześć lat temu. Teraz inaczej...

Dążenie do nabożeństwa w otoczeniu przepychu i nieklamanej luksusu daje się szczególnie zauważyć w stolicach—tam do cerkwi zaglądają czasami „wybitni cudzoziemcy”, a uroczysty chór patriarchy często uzupełniany przez zawodowych, sławnych śpiewaków państwowej opery, śpiewa w cerkwi na rozkaz swoich przełożonych...

Tą zewnętrzną okazałością, blaskiem bogactwa i przepychu, starają się władze sowieckie wywrzeć wrażenie, stale wmaławiając wiernym, że ta cerkiew niczym się nie różni od tej, co była niegdyś...

Proces sowietyzacji cerkwi prawosławnej, dążący do przekształcenia jej w jeden z organów sowieckiego państwa, już znajduje swe odbicie w oficjalnej ideologii cerkiewnej: — dla chrześcijanina nie ważna jest swoboda polityczna lecz „wolność od swoich własnych grzechów”.

Nie dziwnego, że patriarcha nakazał we wszystkich cerkwiach błagalne modły za Stalina... „za zdrowie i pomyślność ustanowionego przez Boga wodza narodów, kraju naszego, miłującego Chrystusa”...

„Socjalistieskij Wiestnik”



W bolońskiej winiarni (Rys. Krystyna Domańska)

Dwie piosenki

1.

— amoroso —

Pinieta jak niebo wysoka
O pniach jak nogi dziew
Włosami żywicznych soków
osada na kwietny krzew.
Odptynął wraz z trudem plusk
W korycie rzeki po burzy.
Przed nieodbytą podróżą
Wykąpał się biały wóz.
I tylko czekać, jak księżyc
Zarzuci kotwicę-blask,
Zaraz się pinie wyprężą
Koronami do gwiazd.
Zaszumi morze o nowiu
(Szum znają pinie na pamięć)

2.

— tremolando —

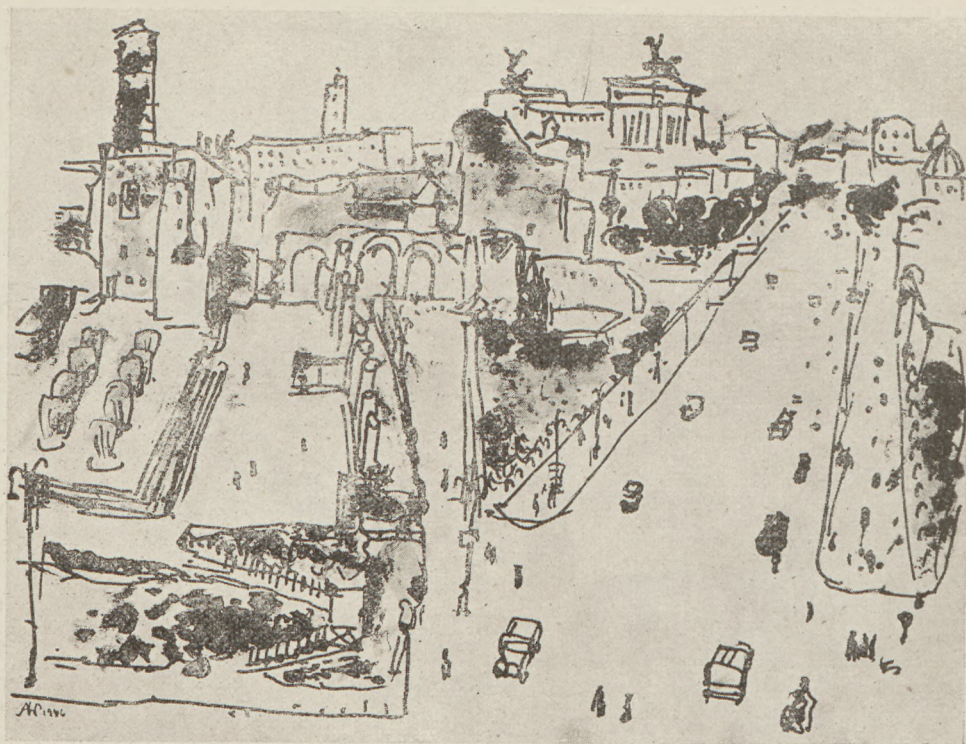
Na czarnym nocy wezgłowi
gaj uśnie z oleandrami...

Woń oleandrów to pożar.
Pieśń lata: żywiczne wonie.
Słyszysz? Parskają konie
Odwrócone od morza.

Dobrze, iż zapach krzewów
Nie podszedł aż pod widnokrąg,
Bo wróciłby wiatrem gniewu
I pinie by zmokły.

Koroną w niebie pluszcząc,
Podziękuj, pinio, wodom!
W bezgłębieniu jedwabnych chłódów
Jestem jak w środku puszczy...

Bolesław Kобрzyński



Via dell'Impero w Rzymie (Rys. Aleksander Werner)

KRONIKI LONDŃSKIE

Były premier i czerwony kapturek

Premier Churchill, „były”, jak nazywają go dzienniki miejscowe, w chwilach wolnych od zajęć wyjeżdża na Florydę. Tak mówiono w nieświadomym Londynie miesiąc temu. Dziś opinia zmieniła się całkowicie. Szary mieszkaniec Wyspy, mowy i przemówienia Churchilla w Stanach Zjednoczonych przypisuje głównie obradom, toczącym się w amerykańskim Kongresie, w sprawie przyznania pożyczki dla Anglii. Tymczasem okazuje się, że nie tylko to było głównym motywem podróży ex-premiera, najpopularniejszego Brytyjczyka w Ameryce. Dla Amerykanów Churchill jest uosobieniem wielkiej siły, jest symbolem potężnego konserwatyzmu brytyjskiego, a co więcej—jest osobiście przedmiotem wielkiej popularności, wynikłej z jego nieustępliwej i jasnej polityki wojennej.

W ostatnich czasach dało się zauważyć w Stanach Zjednoczonych pewne rozluźnie-

nie stosunków sowiecko — amerykańskich. Dało się zauważyć już parokrotnie. Opinia amerykańska jednak stosunkowo niedawno zaczęła sobie zdawać sprawę z pewnych braków w formie faktycznej współpracy i kooperacji między Sowietami i wielkimi mocarstwami zachodnimi. W Kongresie amerykańskim często padały kompromitujące pytania ze strony senatorów w kierunku członków rządu, w których świadomie czy nieświadomie rozwiewano jednak w sposób dość kateryczny i zasadniczy mityczne obietnice rządu sowieckiego. Przy jednoczesnych atakach prasowych, przy komplikowaniu sytuacji w Grecji i Persji, przy mimo wszystko ciągłym wyczekiwaniu — wizyta ex-premiera Wielkiej Brytanii w Stanach ma swoją wymowę.

„Czerwony kapturek”, przykrywający pod różnymi postaciami kontynent europejski i właściwie zupełny brak informacji o tym,

co się dzieje za pancernymi drzwiami granic sowieckich, wprowadził powinien niepokój do serc co żywszych zwolenników sowieckiej polityki wewnętrznej i zagranicznej. Przy tym wszystkim przenikające wiadomości z Polski, Czechosłowacji, Jugosławii i innych państw, które podzieliły ich niewątpliwym los, sprawiają, że niepokój ten w krajach anglosaskich wzrasta bardzo znacznie.

Jednym z dość znamienitych, poza artykułami w prasie codziennej, faktów, jest nieprzebrana ilość rysunków, tzw. „cartoons”, ukazujących się na czołowych miejscach w prasie angielskiej. Rysunki te, jak wiadomo, są zwierciadłem tego wszystkiego, co się dzieje w umysłach opinii angielskiej.

Wszystko to razem określić można jako po prostu brak zaufania. Musimy pamiętać o tym, że zaufanie wzajemne jest pierwszą i najbardziej zasadniczą podstawą wszelkiej współpracy. I dziś Anglia przeżywa swój pierwszy brak zaufania. Pierwszy może już nawet wstrząs.

Premier Churchill ostrzegł. I nie pierwszy to już raz premier Churchill ostrzega świat. Przyjęcie jego przełomowej mowy w Stanach Zjednoczonych i mocny i głęboki oddźwięk jej w zupełnie nieimpulsywnej Anglii jest znakiem, który może przynieść niezwykle ważne zmiany w polityce Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych.

Posłuchajmy jednak, jaki oddźwięk miała ta najważniejsza mowa Churchilla w prasie angielskiej. Oto refleksje na ten temat „Observera” londyńskiego. Jednego z najpoważniejszych pism angielskich. Stały komentator polityki międzynarodowej *Student of Europe* pisze między innymi, że premier Churchill uczynił swoją mową desperacki chwyt, ażeby uratować taki program organizacji pokoju, na jakim opierała się jego własna polityka wojenna lat ostatnich. Zasadniczym szkicem tego projektu było kompletne wyeliminowanie Niemiec jako czynnika równowagi światowej, co oczywiście w owych czasach miało znaczyć jednocześnie zwiększenie siły politycznej i wpływów Rosji. Ażeby trzymać niejako w szachu i unikać niebezpiecznych następstw, Churchill wynalazł jeszcze jeden czynnik zasadniczy, jakim miała być stała bliska współpraca angielsko — amerykańska, rosnąca w owym czasie w siłę z tytułu bardzo ścisłego zmieszania się wspólnych spraw tych obu narodów.

Pierwsze dwa czynniki tej polityki zostały niewątpliwie zrealizowane. Trzeci jeszcze dotąd nie. Niemcy zostały rozłożone

całkowicie, Rosja zdobyła znacznie większą siłę i potęgę.

Ale Stany Zjednoczone i Anglia, od momentu ukończenia wojny, rozdzieliły się zupełnie zdecydowanie. I to właśnie jest w tej chwili największą bolączką i największym utrudnieniem dla polityki angielskiej, zarówno zewnętrznej jak i wewnętrznej.

„Observer” pisze w dalszym ciągu: „Niemalże natychmiast po zwycięstwie alianckim w Europie, Rosja rozpoczęła swoją politykę dalszej ekspansji; po konferencji moskiewskiej z ostatniego grudnia Rosja zaczęła prowadzić „zimną wojnę” w stosunku do Anglii i Imperium Brytyjskiego. Jej propaganda na całym świecie wprowadziła wyraźnie antybrytyjskie elementy jako część swoich atutów. Jej dyplomacja nie omieszczała korzystać z każdej nadarzającej się okazji zaskoczenia polityki czy rządu brytyjskiego. Jej polityczne agencje we wszystkich krajach zrobiły wszystko co mogły, ażeby przeciwstawić się naszej polityce i interesom”.

Wielokrotnie zadawaliśmy sobie pytanie, jak daleko może sięgać potulna cierpliwość angielska. Nie ma jeszcze żadnych znaków, ażeby cierpliwość ich wyczerpywała się w jakimkolwiek sensie. Są jednak bardzo wymowne znaki na temat kompletnego braku zaufania i podejrzeń. Dziś prasa angielska ma coraz mniej wątpliwości co do rzeczywistych zamiarów polityki moskiewskiej.

W dalszym ciągu artykułu spotykamy się z wnioskiem, a właściwie półwnioskiem następującym: „Oto jest ta nieprzyjemna sytuacja, przed jaką staniemy. Nie jest naszą rzeczą decydować o tym, czy mamy być pro - czy anty - rosyjsko nastawieni. Duża większość Brytyjczyków wolałaby być niewątpliwie pro-rosyjska, ale niestety Rosja sama wydaje się już o tym decydować, będąc wyraźnie anty-brytyjsko nastawiona”.

Wydaje się więc, że przemówienie Churchilla nie wiele więcej gorszego jest w stanie zdziałać, niż sama Rosja, która w swojej polityce anty - brytyjskiej i anty - amerykańskiej posunęła się już bardzo daleko.

Reszta należy do przyszłości. Może nie-dalekiej. Może do następnego Walnego Zgromadzenia Narodów Zjednoczonych.

Na pewno wiele umysłów społeczeństw anglosaskich przeżywa je niezwykle głęboko. Czas i doświadczenia codzienne nowej „organizacji” pokoju — zrobią resztę.

K. P. M.



Giotto: Zmartwychwstały Chrystus i Magdalena

W pracowni literatów polskich

Bronisław PRZYŁUSKI

Wydalem w 1931 roku u Kuglina w Poznaniu tom wierszy pt. „Badyle”. W roku 1935 u Bibliofilów w Toruniu — tom pt. „Dalekie łaki”. Teraz zamierzam wydać nakładem „Na szlaku Kresowej” tom pt. „Jałowce”. Będą to wiersze z okresu od 1935 r. do dzisiaj, pisane przeważnie w niewoli. Poza tym noszę się z zamiarem wydania misterium pt. „Hiob”, ułożonego pod koniec niewoli.

Józef BUJNOWSKI

Trudno rzutować w przód — nie oglądając się wstecz.

Jeśli miałbym liczyć etapy rządowymi strunami poezji — (Pęknięty tor — 1936, Pięścią w twarz — Kwiatami pod nogi — 1938, Ręce od brzegu — 1944, Brzozom w płomieniach — 1945) — kończę pierwsze dziesięciolecie twórczości poetyckiej wykonując drogę od liryki refleksyjnej i poezji faktów do poezji faktów i liryki refleksyjnej. Ostatnie bowiem niedokończone utwory, powstałe po „Brzozach w płomieniach”, stoją wyraźnie pod znakiem poetyckiej refleksji.

Marzeniem moim jest stworzenie dramatu, jako organicznego zestroju wszystkich gałęzi sztuki, jako wyrazu najistotniejszych, wiecznie występujących w konflikcie dążeń ludzkich. Jak dotychczas, wszystkie w tym kierunku napisane próby uległy zniszczeniu...

Mam pewne próbki powieści psychologicznej. Szeroko zamierzony plan prac historyczno — literackich (kempozycja dramatu Wyspiańskiego, Szkoły poetyckiej 1918-1939) rozbijają się z braku czasu i odpowiedniego warsztatu pracy.

...
Ci, co przyszli z daleka
Na Święta Wielkanocne
Patrzyli przerażeni
Na zwiędłe liście rąk
I ciężar zwieszanej głowy
Przybitego człowieka
Na krzyżu wysokim i mocnym
W wieczornym oddechu tąg
Gdy lisy wychodzą na łowy

Bronisław Przyłuski

Pamiętniki J. Paul-Boncoura

Pamiętniki J. Paul-Boncoura to właściwie rzeka niekończącego się gadulstwa. Przedzierając się z trudem przez dwa grube tomy jego wspomnień, obejmujących epokę od roku 1877 do 1934 (ma wyjść jeszcze tom trzeci o ostatnich czasach) zastanawiałem się często po co ta rzeka płynie, do jakiego celu zmierza, jakie uzasadnienie dla swego istnienia w sobie niesie. Wydaje się bowiem — nie wiem czy słusznie — że bezinteresowna narracja pamiętnikarska mężów stanu, próba obiektywnego ujęcia przeżytego przez nich okresu jest rzeczą co najmniej rzadką. Talleyrand pisał pamiętniki by usprawiedliwić swą ekwilibrystkę polityczną, Metternich, pisząc o sobie, rzeźbił nieskazitelny posąg dla przyszłych pokoleń, Bülow przekazywał przyszłości swą niechęć do Wilhelma II. A Boncour w przedmowie do tomu pierwszego mówi, że wspomnienia jego są próbą zrozumienia obecnej rzeczywistości, są próbą odkrycia przyczyn upadku Francji. Rzeka więc ma wytknięty cel, określony punkt do którego płynie. Ale płynąc ulega łatwiznom terenowym, wylewa się w jakże wzruszającym często, pełnym dobrotliwego umiłowania dla sprawy zakręcie, gubi się w migocącym pejzażu przeżytego wspomnienia. I celu nie osiąga. Być może, że do sprecyzowania przyczyn upadku III Republiki i określenia zadań stojących przed IV Republiką, Boncour dochodzi dopiero w tomie trzecim. Tutaj jednak poprzestaje tylko na malowaniu różnic nastroju i sytuacji życia politycznego we Francji w latach poprzedzających pierwszą i drugą wojnę światową.

Okres pierwszy to niewątpliwie dla Boncoura okres zbliżony do nieosiągalnego ideału. Z jakim rozczuleniem wspomina on

prosty układ stosunków politycznych wewnętrznych, gdzie na początku były właściwie tylko dwa obozy, prawica i republikanie, jak z pełnym nadziei zadowoleniem obserwował on wówczas wzrost partii socjalistycznej pod wspólną egidą Jauresa, jakże niewinnie wyglądały ścierania się tych partij i pełne kultury i wzajemnego poszanowania walki ich przedstawicieli w Parlamencie. Gdzie okres rozkwitu genialnego krasomówna takich ludzi, jak Waldeck-Rousseau, Clemenceau, Viviani, Jaures. Gdzie umijętność spokojnego prowadzenia rządów, tak jak to robili Ferry, Waldeck-Rousseau, Combes. A w polityce zagranicznej, gdzie umijętność nawiązywania właściwych aliansów, jak to przeprowadzał mały minister spraw zagranicznych, Delcassé, tak mały i niepozorny, że słynne biurko na Quai d'Orsay Vergennes'a musiało być do niego dopasowywane. Były co prawda drobne nieporozumienia i trudności. Było niepotrzebne obalenie Ferrego przez Clemenceau, w chwili gdy Ferry powiększał Imperium francuskie o Tonkin, były niepotrzebne walki Combes'a z Watykanem, była sprawa Dreyfusa, były strajki i były pierwsze zwiastuny nadciągającej burzy od Niemiec. Ale to wszystko ma w oczach Boncoura inny kształt. — Kształt rzeczy, którą się rozumie, której uzasadnienie rzeźby się widzi, której mechanizm poruszania przewiduje się.

A okres przed drugą wojną światową?

Na okres ten Boncour patrzy inaczej. Jest to okres, do którego podchodził w chwili, gdy padał ostatni strzał na froncie, pełen nadziei i otuchy, pełen woli realizacji nakreślonych planów. I okres ten jest dla niego nieustannym pasmem rozczarowań. Bo na rynku wewnętrznym, partia socja-

listyczna dzięki błędom przegrywa wybory 16 listopada 1919 r., wygrywa je co prawda w 1924 lecz pod wpływem Bluma nie partycypuje w rządach. Dojście zaś do władzy Frontu Ludowego w 1936 jest już spóźnione. Bo dalej, na rynku wewnętrznym, powstają liczne grupy i grupki wzajemnie skłóconych partii, sama partia socjalistyczna przechodzi przez dwa rozłamy. Gra skłóconych partii komplikuje się przez wpływy finansjery i istnienie jej odrębnych interesów i przekupionej przez nią prasy. W konsekwencji stała niepewność, nieumiejętność przeprowadzenia jakiegokolwiek akcji, polityka prowizoriów i rekordy ustanawiane przez Brianda, który 11 razy formuje gabinety.

A na rynku zewnętrznym ta sama chwiejność i niepewność. Zaprzepaszczone według Boncoura możliwości utrzymania rewolucyj socjalistycznych w Niemczech prowadzą w konsekwencji do przegrania możliwości rzetelnej współpracy z Niemcami. Daje to w rezultacie politykę opartą na niepokoju i nieufności ciągle wzrastającej. Liga Narodów, ten instrument pokoju, który Boncour obdarzał twardą, niezłomną wiarą, któremu tyle lat swej pracy poświęcił — zawodzi także. Na początku funkcjonuje sprawnie, bo stoi za nim flota angielska i zwycięska armia francuska. Na początku też moment niepokoju, jeżeli chodzi o Niemcy, nie gra w pełni. Jest więc powstrzymany konflikt grecko-bułgarski, zlikwidowana sprawa Mosulu, załatwione nieporozumienie węgiersko-rumuńskie i polsko-litewskie. Jest po tym Locarno, protokół o rozbrojeniu, konferencje rozbrojeniowe. Jest Mała Ententa, Pakt Czterech. Na wszystko to patrzy Boncour radośnie i pełen ufności. Ale potem przychodzi Mandżuria, Abisynia, moment niepokoju o Niemcy wzrasta. I co ważniejsze wiara, już nie w stworzenie armii międzynarodowej, stojącej na straży Ligi Narodów, lecz po prostu wiara w decyzje użycia floty angielskiej i armii francuskiej, słabnie. Instrument zaczyna zawodzić, by w końcu zaprzestać działania całkowicie.

Tak wygląda w największym skrócie boncourowska analiza drugiego okresu. Skonstatowanie różnic między tymi dwoma okresami nie prowadzi niestety Boncoura do konstruktywnych wniosków. Bo Boncour myśli cudownymi kategoriami okresu pierwszego. Ma wzruszające przywiązanie do swych ideałów, ma wolę realizacji, ma gotowość do ofiary i poświęcenia, ma zaparcie się w pracy, lecz wszystko to rozbija się o twardą, nową, skomplikowaną rzeczywistość. Boncour widzi często genial-

nie nieuniknione konieczności, które niesie przyszłość, próbuje do tych konieczności się przygotować, jak na przykład składając w 1928 r. plan organizacji narodu na wypadek wojny, lecz rzeczywistość jest od niego silniejsza. I dlatego pamiętniki Boncoura są smutne. Są smutne, bo są do wodem bezsily i są smutne, bo są akonstrukttywne. Ustalają bowiem tylko różnice.

Wydaje mi się, że to Heraklit powiedział: „Wszystko płynie i upływa, nikt nigdy nie przepłynął dwa razy przez tę samą rzekę”. Czyżby Boncour pisał swe pamiętniki dla udowodnienia prawdziwości heraklitowskiej tezy?

* * *

Chciałbym — by uniknąć zarzutu jednostronności — wspomnieć jeszcze o dwu interesujących aspektach pamiętników Boncoura.

Pierwszy z nich to postawa Boncoura w stosunku do socjalizmu. Boncour od najmłodszych lat patrzy na socjalizm z sympatią. Z początku stoi na boku, mimo, że wyznaje jego ideologię, lecz pracuje nad poprawą losu klas robotniczych, organizuje syndykalizm i z właściwym sobie zapałem broni jego praw. Później, jako minister pracy w roku 1911 wprowadza w życie śmiałą ustawę o ubezpieczeniach społecznych. Gdy wybucha pierwsza wojna światowa, tak jak Jaures i Guesde wypowiada się za całkowitym udziałem socjalizmu w obronie Francji. To był krok odważny. Ale znamienita i charakterystyczna ewolucja następuje u Boncoura nieco później. Po czteroletnich walkach na froncie, Boncour swój socjalizm unaradawia. Odstąpienie od zasady międzynarodowej jest u niego z początku chwiejne, tendencja do kompromisu dosyć wyraźna, z czasem jednak to odstąpienie akcentuje się coraz bardziej. Działalność Boncoura jako piosła, przedstawiciela Francji przy Lidze Narodów, ministra wojny, premiera i w końcu senatora, to nieustanna dbałość o bezpieczeństwo Francji przede wszystkim. I na tym tle zarysowuje się konflikt jego z partią, prowadzący w końcu do opuszczenia przez niego szeregów partii. Ta ewolucja myślenia politycznego Boncoura jest dla naszej epoki bardzo charakterystyczna. Ten sam proces przechodził u nas Marszałek Piłsudski i może też ta wspólnie odbyta droga budziła u Boncoura sympatię do Marszałka Piłsudskiego. Boncour odwiedzał go w Sulejówku, witał z sympatią pojawienie się Marszałka w Genewie.

Boncour swą ewolucję tłumaczy, konieczność unarodowienia socjalizmu uzasadnia. Uzasadnia porównaniami z czasów

rewolucji francuskiej, cytuje Kiereńskiego i to są zapewne najciekawsze strony jego pamiętników.

Drugi ciekawy aspekt pamiętników to ich — niezależna zresztą od autora — aktualność. Tamten okres po wojnie i obecny. Ile problemów podobnych i różnych jednocześnie. Wewnątrz państw wyczerpanie prowadzoną wojną, trudności gospodarcze, niepokoje co do grożącego bezrobocia, strajki, problemy finansowe, zagadnienia reparacji, nielegalnych zysków i ogólne mocne, twarde przekonanie społeczeństw, że zakończona wojna była wojną ostatnią. Boncour mówi: wojna 1914 roku była wojną prowadzoną w imię zwycięstwa hasła demokracji, wolności narodów, ich równości wobec prawa i ich prawa do samostanowienia o sobie. Była 14 punktowa odezwa Wilsona i Liga Narodów, która miała hasła te realizować. I hasła te co prawda z trudem przeżyły niecałych lat 20. A obecnie?

Czy warto wspominać o tym jak długo żyła Karta Atlantycka? Czy warto cytować przykłady deptania hasła, o które jakoby walkę prowadzono? Czy warto przeprowadzać porównanie między ówczesną konferencją pokojową i obecnymi przygotowa-

niami do konferencji? Czy warto mówić o różnicach i podobieństwach między ONZ a Ligą Narodów? Pytania te można by mnożyć w nieskończoność. Różnic jest tyle i jakże istotnych. Ale są także rzeczy, które się nie zmieniają.

W roku 1927 Boncour spotyka się z Łunaczarskim w Genewie. Rozmowa toczy się na temat Trockiego. I w pewnej chwili Bocour zadaje pytanie:

— Niech Pan mi wytłumaczy proszę, dlaczego w Rosji prowadzicie politykę przysposobiania, podczas gdy komuniści u nas prowadzą politykę bezwzględnej radykalizmu.

Na to Łunaczarski odpowiada: — Ależ przecież dlatego, że nie jesteśmy dostatecznie pewni czy państwa zachodnie nie zaatakują nas któregoś dnia; chcemy więc mieć u nich partię, która byłaby nam całkowicie wierna, a to w celu zabezpieczenia naszej rewolucji i zachowania możliwości rewolucyjnych u was.

Są więc rzeczy, które — jak powiedzieliśmy — nie zmieniają się. Czyżby to, że rzeka płynie było złudzeniem optycznym? Czyżby teża heraklitowska zawodziła czasami?

Józef Ursyn

Podstęp „sztuki użytkowej”

Na pierwszej stronie pierwszego numeru „Organu Związku Zawodowego Plastyków w Krakowie” ukazał się „adres powitalny” jednego z najwyższych dygnitarzy życia kulturalnego w Polsce treści następującej:

„Podstawowym założeniem dla należytej organizacji sztuk plastycznych odpowiednio do roli, jaką mają one do odegrania w całokształcie życia kulturalnego, musi być ustalenie właściwego stosunku między tzw. sztuką „czystą”, a sztuką „użytkową”. Sztuka „czysta” spełnia doniosłe zadania „laboratoryjne”, jest warsztatem nowych form i środków wypowiedzi artystycznej, decyduje o żywotności wysiłków twórczych. Spełnia więc na swój sposób — mimo pozornego „oderwania od życia” — płodną i pozytywną rolę w ogólnym rozwoju sztuk plastycznych.

Sens społeczny tej pozornie „aspołecznej” sztuki „laboratoryjnej” ujawnia się zatem na dłuższej fali, lecz jest nie mniej istotny od bardziej doraźnie widocznego sensu społecznego plastyki „użytkowej”.

W kategoriach gospodarczych sztuka „czysta” jest oczywiście produkcją deficytową, może istnieć jedynie dzięki instytucji

„mecenatu”. W warunkach życia współczesnego może to być głównie mecenat państwowy. Polityka państwowa w zakresie sztuki jest w stanie rozwiązać całość zagadnienia w sposób najbardziej racjonalny i planowy. Z optyczalnej pod względem gospodarczym (handlowym) sztuki użytkowej może państwo czerpać środki dla popierania „deficytowej” sztuki „czystej”. W ten sposób może być osiągnięta samowystarczalność gospodarcza w zakresie sztuk plastycznych”.

Jeśli zajmuję się tym oświadczeniem to nie dlatego, żeby je poddać rzeczowej krytyce. Nie jestem plastykiem i nie wiem w jakim naprawdę stosunku pozostają do siebie „sztuka czysta” i „sztuka użytkowa”. Domyslałem się tylko, że jest chyba w tym genialnie prostym rozwiązaniu sporo przesady, skoro analogiczne propozycje w dziedzinie, powiedzmy, poezji musiałyby sprowadzić pobłażliwy uśmiech na usta każdego rozumnego krytyka literackiego. Trudno przypuścić, aby ktokolwiek znający się na literaturze uwierzył, że pomysłowy i bardzo kasowy slogan poetycki „cały rok koniak Stock” (nawiasem mówiąc duże

jego walory poetyckie wykazał przed wojną Ostap Ortwin) pokrył koszty „nieopłacalnej pod względem gospodarczym”, „czystej” i „laboratoryjnej” poezji Przybosa. Chociaż, prawdę mówiąc, ta właśnie analogia kryje w sobie bardzo negujące perspektywy. Trzeba bowiem widocznie w sferze nowej polityki poetyckiej w Polsce umieć zarobić trochę na koniak, żeby móc stracić na „czystej”...

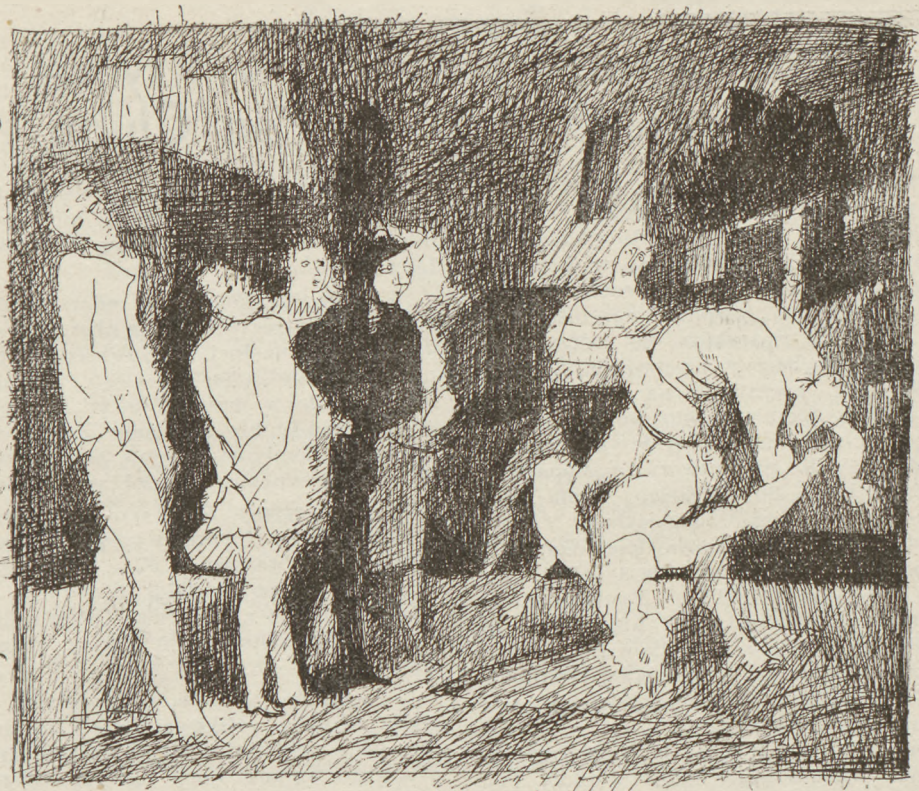
Jeżeli jednak odsuniemy na bok żarty i kpiny, to staniemy w obliczu pewnego bardzo interesującego faktu z dziedziny współczesnej polityki kulturalnej w kraju. W oświadczeniu warszawskiego „Ministerstwa Kultury i Sztuki” zawarta jest w gruncie rzeczy dość przejrzysta myśl o charakterze ostrożnego jeszcze *szantażu* artystycznego i politycznego. Wyłuskana z namaszczonego opakowania ministerialnego i przełożona na bardziej brutalny język dnia codziennego, wygląda ona mniej więcej tak: „Wszystko to co robicie, wasze „martwe natury”, „akty”, „pejzaże”, wasze „pomarszczone cytryny” i „gołe tyłki kobiece”, jest z punktu widzenia „państwowego mecenatu kulturalnego” rzeczą najzupełniej nieopłacalną, jeśli nie wręcz deficytową. Będziemy wam na te dzikie wybryki pozwalać tak długo, jak długo wasi koledzy pokrywać będą plakatami, znaczkami pocztowymi i portretami dostojników państwowych niedobór kasowy tej ryzykownej imprezy. Jeśli jednak i w ten sposób „racjonalna i planowa” gospodarka kulturalna nie dojdzie do stanu „samowystarczalności” to wówczas...”

Co wówczas? Oświadczenie „Ministerstwa Kultury i Sztuki” rzuca zasadniczy cień na wszystkie, najsurowsze nawet wywody na temat sztuki, zawarte w treści numeru. Nie tak łatwo już będzie wykręcić się od raz danego słowa. To też na dalszych stronicach pisma malarze w roli filozofów i teoretyków sztuki dokonują naprawdę cudów ekwilibrystyki intelektualnej i artystycznej, żeby dowieść swych „najlepszych chęci”. Z artykułu napisanego na spółkę przez dwóch plastyków dowiadujemy się, że „udział artysty w życiu narodu wykazuje wyraźnie różnicowanie, rytm zaś owych różnicowań jest równoległy z rytmem przemian społecznych” oraz, że „energetyczne siły warstw społecznych w danym okresie zwycięskich wyrażają się przede wszystkim w formach tworzonych przez sztukę”. Każde słowo w tych napuszonych enuncjacjach jest kłamstwem. Współczesny artysta — nowator, poszukujący w swej pracy nowych form i rozwiązań artystycznych jest w istocie rzeczy jak najdalej od „energetycznych sił zwycięskich

warstw społecznych” i „rytmu przemian społecznych”. Tworzy sztukę hermetycznie zamkniętą i dostępną tylko dla nielicznych. I właśnie dlatego jego nazwisko znajdziemy pod najbardziej radykalnymi proklamacjami politycznymi i społecznymi. I właśnie dlatego bywa on najczęściej członkiem partii komunistycznych we wszystkich krajach Europy. Chce bowiem w ten sposób, w fałszywym i sztucznie mu narzuconym poczuciu „bezużyteczności społecznej” zrekompensować swą elitarność, spłacić choć małą część trybutu na rzecz masowości życia, które przewala się pod oknem jego pracowni. Tylko bardzo powierzchowny obserwator zagadnień socjologii sztuki może ten przeważnie *deklaracyjny* charakter postawy społecznej współczesnego artysty uważać za wynik jego ludzkiej wrażliwości, wyczulonej obcowaniem ze sztuką. (Choć, żeby być sprawiedliwym, i tego czynnika nie należy lekceważyć). Prawdziwie rozumny mecenas sztuki — choćby nim miało być nawet państwo — musi więc w stosunku do artystów prowadzić nie politykę wyciągania cyrografów na „sztukę użytkową”, lub nakazów zasilania „energetycznych sił społecznych”, lecz politykę przekonywania ich, że praca artystyczna, którą wykonują jest równie ważna wtedy, kiedy ogląda ją 10 osób, jak i wtedy, gdy ją podziwiają miliony. Tylko wówczas państwo może liczyć na artystów oddanych prawdziwie swojej sztuce, a nie na gromadę ludzi gotowych podpisać wszystko i namalować w wolnych, ukradzionych sobie samym chwilach czasu wszystko, byle tylko zadookumentować swój „pozytywny stosunek” do bieżących zagadnień politycznych i społecznych.

Plastycy krakowscy, którzy tak lekko-myślnie podpisali znowu ten cyrograf podsunęły im przez „Ministerstwo Kultury i Sztuki”, nazywając go swoim „programem ideowym”, nie zdają sobie może sprawy, że gdy na owej „dłuższej fali” ich sztuka okaże się mimo wszystko „deficytowa” zjawi się ktoś, kto uczyni im zarzut zbyt przewlekłej „laboratoryjności” i zaproponuje wykonanie paru pilnych „zamówień społecznych”. Wówczas może otworzą im się oczy na fakt, że w postaci owej „sztuki użytkowej” wpuścili do swych pracowni konia trojańskiego, który — tak jak i wszystkie inne interesujące się przed nim tymi sprawami konie — jest dość kawaleryjski w swym prostackim rozwiązywaniu najtrudniejszych zagadnień życia współczesnego.

Krzysztof Jeleński



Marian Kościatkowski: Rysunek

Księżyc i Wenus

czyli ballada o kwałdrach

Srebrnozłotawym dumny cieniem
szedł księżyc — ręce miał w kieszeniach.

Po niebie szedł i gwizdał arie
plując na czubki eurakaryj.

Że gwiazdy za nic miał i ziemię,
cisnął z zanadru w krąg kamienie

polartszy wprzód o złotą korę
tak zwane rzucił meteory.

Aż raz podpatrzył ptochę Wenus...
— przechylił z lekka w bok kapelusz,

a że z kąpieli mlecznej, drżąca
szła — zaczępiła róg miesięca.

Zadrżał i oblał się purpurą...
— a ona przeszła patrząc z góry.

Przymknąwszy oczy snił... i cierpiał,
od bólu spuchł — nie było sierpa.

Cera — zepsuła się, pobladła,
wreszcie księżyc pót odpadło,

a drugie pót skrócone w dwoje
spaliło się od niepokoju.

Więc była ciemna noc i smutna.
Aż Wenus znowu zrzuca płótna

i rozplecione gwiazdne włosy
spadły na przegub stopy bosej —

Innych szczegółów nie dopowiem...
Nie zdzierzył księżyc: wzeszedł w nowiu.

Józef Bujnowski

Zjazd pisarzy polskich w Rzymie i utworzenie oddziału Pen-Clubu

W dniach 16-19 marca odbył się w Rzymie zjazd pisarzy polskich z terenu Włoch. Celem zjazdu było utworzenie sekcji włoskiej Pen-Clubu polskiego w Londynie. Zjazd poprzedzony został wieczorem autorskim pisarzy 2 Korpusu; zgromadził on w jednej z rzymskich sal odczytowych kilkuset słuchaczy, przeważnie żołnierzy 2 Korpusu, przybyłych na studia wyższe do Rzymu. Licznie zgromadzona widownia przysłuchiwała się uważnie i reagowała bardzo żywo na utwory następujących pisarzy: Józefa Bujnowskiego, Adolfa Fierli, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Artura Międzyrzeckiego, Gustawa Morcinka, Herminii Naglerowej, Beaty Obertyńskiej, Jana Olechowskiego, Michała Pawlikowskiego, Bronisława Przyłuskiego, Kazimierza Sowińskiego, Tadeusza Sułkowskiego, Melchiora Wańkowicza i Wiesława Wohnouta. Wieczór autorski poprzedził słowem wstępnym Jan Bielałowicz.

Dnia 17 rano odbyło się walne zgromadzenie organizacyjne sekcji włoskiej Pen-Clubu polskiego w Londynie. Na przewodniczącego zebrania powołano p. Melchiora Wańkowicza. Do prezydium zgromadzenia weszli: dr. Karolina Lanckorońska, Bronisław Przyłuski i sekretarz Janusz Wedow. W czasie ożywionej dyskusji poruszono poza sprawami ściśle organizacyjnymi wiele ważnych zagadnień z zakresu polskiego życia literackiego we Włoszech. Szczególnie żywo dyskutowane były sprawy utworzenia pisma literackiego, wieczorów dyskusyjnych i literackich oraz stałych wieczorów autorskich, które miałyby być organizowane na terenie całego Korpusu.

Uchwały jakie zapadły na pierwszym organizacyjnym zgromadzeniu w sekcji włoskiej Pen-Clubu polskiego w Londynie (którego prezesem jest znany poeta Stanisław Baliński) przyjęte zostały przez aklamację. Treść uchwał brzmi:

1. — Z chwilą ukończenia działań bojowych od każdego Polaka na obczyźnie wymaga się wielkiego wysiłku osobistego. W polskim życiu zbiorowym musi nastąpić przewartościowanie w tym kierunku. Polscy pisarze we Włoszech powołują oddział Pen-Clubu w tym celu, żeby wysiłek osobisty każdego z nich osiągnął możliwie duże napięcie.

2. — Ze względu na nierozbudowane

życie pisarstwa polskiego na uchodźstwie, sekcja włoska polskiego Pen-Clubu podejmuje również funkcje Związku Zawodowego Literatów.

3. — Dopóki Polska nie odzyska niepodległości, jedynie pisarze na obczyźnie mają możliwość swobodnej wypowiedzi, władze naczelne Pen-Clubu polskiego nie mogą mieć siedziby w kraju. Dlatego za prawną władzę Pen-Clubu uznajemy Zarząd Centralny w Londynie i jemu organizacyjnie podporządkowujemy Oddział we Włoszech.

4. — Wierzymy, że pisarze polscy gdziekolwiek piszą i mimo najtrudniejszych warunków, wszędzie idąc będą drogą odziedziczoną po wielkiej literaturze polskiej nie tracąc z oczu naczelnego celu — walki o niepodległość i obrony godności człowieka.

5. — Polscy pisarze, zgrupowani w sekcji włoskiej polskiego Pen-Clubu zwracają się z pozdrowieniem do pisarzy kraju, o którego wolność mieli zaszczyt walczyć i w którym obecnie znajdują goście. Pisarze polscy wyrażają pewność, że pomiędzy nimi i ich kolegami włoskimi wywiąże się twórcza współpraca, czerpiąca siły ze wspólnej kultury śródziemnomorskiej, w tradycji walk o niepodległość, nienawiści do przemocy i wspólnego umiłowania wolności jednostki.

Zarząd sekcji włoskiej Pen-Clubu polskiego w Londynie ukonstytuował się w następującym składzie: prezes — Gustaw Morcinek, wiceprezes — Herminia Naglerowa, członkowie Zarządu — Jan Bielałowicz i Wiesław Wohnout, sekretarz — Gustaw Herling-Grudziński.

Sekcja włoska Pen-Clubu polskiego liczy 25 członków, których nazwiska podajemy dla informacji czytelników. Są to: Jan Bielałowicz, Józef Bujnowski, Stanisław Czernik, Adolf Fierla, Gustaw Herling-Grudziński, Bolesław Kobrzyński, Karolina Lanckorońska, Walerian Meysztowicz, Artur Międzyrzecki, Gustaw Morcinek, Herminia Naglerowa, Beata Obertyńska, Jan Olechowski, Jan Ostrowski, Michał Pawlikowski, Stanisław Pleszczyński, Bronisław Przyłuski, Kazimierz Sowiński, Tadeusz Sułkowski, Wiktor Trościańko, Melchior Wańkowicz, Janusz Wedow, Wiesław Wohnout, Tadeusz Zajączkowski i Józef Żywina.

Brzask

*Jest sypki osad nad zachwytem: epok sól;
Trwa jeszcze łuków brwi w marmurze grymas krągły —
Z kamiennych urwisk, z mgieł pod szczytem, z ciężkich pól,
Szalestem chłodnych szat zaludnił trakt posągi.*

*Łaciński powie wiesz heksametr; właśnie brzask
Podejdzie z śnieżnych gór pod nieba potysk wąły;
Zapachnie ogród kwiatów cierpkich, dźwięcznych nazw,
W cichnący tunik szmer i zrózowiły portyk.*

*Gdzie śpiewny bogiń tłum potręcał obłok strun,
Przerzuci biały most nad rzeką krzepkie ramię —
W muzeach sennych, w szkłe fenickim — martwy bunt;
Błyszczący w słońcu kwarc i kolumn gładki granit.*

*Świątyni gruzy pod grotami straszy kształt
Maczugi, którą pięść na wieże mściwie wzniosła
Z dni Pipistrelli, śladów smolnych pośród skał
Cienia zburzonych dróg, co w ziemi tej pozostał.*

*I kiedy srebro żniw pomiesza z brzękiem tarcz
Zmarszczony wiekiem gaj. a myśl pobiegnie ku nim —
Jest epok osad nad zachwytem — mroczny dar
Głodzonych śmudnie strzał i kruszących ruin.*

Artur Międzyrzecki

TEATR 2. KORPUSU

Trzy dni za kulisami

Tego tytułu nie trzeba brać zbyt dosłownie. Jest w nim trochę prawdy, jeśli należycie rozciągnąć znaczenie słowa „kulisy”. Ale rzecz jasna, że służy raczej za wabik, który ma na celu zachęcić czytelnika do lektury. Wiadomo bowiem, że kulisy posiadają dużą siłę przyciągającą i silnie działają na wyobraźnię „szerokiej publiczności”.

Ten fosforyzujący powab kulis nie jest odległej daty. Nikt nie słyszał i chyba nie zachowywał się żadne dokumenty, które świadczyłyby o tym, iż starożytni Grecy czy Rzymianie chodzili za kulisy teatru tragicznego, czy też pantominy, aby oglądać, jak histrioni nakładali koturny i rezonancyjne maski. Nawet argument, że wtedy

na scenie nie było kobiet, nie byłby dla nich wystarczający. A może nie było kulis w naszym znaczeniu? Tak, czy inaczej, nie chodzili chyba i... basta.

Podobnie też nie wspomina się o chodzeniu za kulisy teatru szekspirowskiego, czy też na dworze „Króla Słońca”, Ludwika XIV. Wystarczało najwidoczniej, że książęta i dostojnicy królewscy mieli prawo zajmowania miejsc siedzących, ustawionych na samej scenie, aby zbliżenie z grającymi aktorami, czy aktorkami było dostateczne dla zaspokojenia wszelkiej pod tym względem ciekawości.

Kulisy nabrały całego swego czaru hodajże dopiero w XIX w. i to raczej w drugiej poromantycznej połowie tego stulecia.

Wówczas to zrodził się ten specyficzny snobizm chodzenia za kulisy, ocierania się o wielkość aktorskie, noszone dosłownie na rękach lub wożone w karocach przez panów we frakach, po uprzednim wyprężeniu koni. Był to przywilej wzbogaconego burżuazji, bywalca teatralnego, abonenta fotelu lub łoża, zwłaszcza w operze lub balecie, gdzie odwiedziny za sceną przybierały wyraźny posmak zakazanego



Okolice Recanati (Fot. A. Romański)

owocu. Przywilej ten był jednocześnie doskonałą reklamową przynętą, dla większego napełnienia kasy teatru.

Później w XX w. zwyczaj ten zaczął coraz bardziej przeradzać się w ceremoniał towarzyski, *cercle* elity salonowej w świecie artystycznym, potem po prostu elity kulturalnej wśród luminarzy sztuki scenicznej, aż wreszcie w naszych już mocno zdemokratyzowanych czasach czar kulisy uległ dalszej na swą niekorzyść metamorfozie. Nas współczesnych bowiem nie snobują kulisy, tak jak to było za czasów naszych ojców, czy raczej dziadów i pradiadów.

Aktorzy może trochę spadli z Olimpu do rzędu zwykłych pracowników wolnego zawodu, a spotkanie się z nimi — często

naszymi krewnymi, kolegami lub co najmniej znajomymi — za kulisami, nabrało cech zwykłego uczynku samarytańskiego. Nie zostawić ich tak już zupełnie samych w chwili najcięższej dla nich próby, pokrzepić, pochwalić, jeśli tylko można, i trochę odprężyć, oderwać od chwilowej troski i rozproszyć choć trochę nieuniknioną i natrętną treść.

Sport, dancing i turystyka niewątpliwie odebrały wiele z niezdrowego zaciekawienia towarzyszącego wszelkiemu dezabilowi, makijażowi i intymności zakulisowej. Bo za kulisami teatru widzi się przede wszystkim kobiety. Kto wie, czy teatr — to nie są przede wszystkim kobiety, przynajmniej dziś. To też człowiekowi dzisiejszemu poza sceną rzuca się w oczy zwłaszcza nie tyle człowiek, co technika. Ten zastraszająco niski przeważnie poziom przestarzałych urządzeń technicznych teatru, tak rzadko rozporządzającego całą zautomatyzowaną maszyną zapadni, oświetleń, przesunięć na scenach obrotowych lub pudełkowych.

A potem dopiero taki dzisiejszy realista widzi zdenerwowanych, na wpół ubranych w dziwaczne stroje, po prostu brzydkich z bliska ludzi, zmęczonych, ociekających rozmazaną szminką. Nieład, jeśli nie powiedzieć brud, nieporządek. Jak w jakimś nie-staylorzowanym warsztacie fabrycznym. Na przybysza zaledwie zwraca się uwagę, jeśli nie jest szczególnie potrzebny w tej chwili. Jeżeli on kogoś zaczepi, uprzejmie go przywitają i coś bąkną na odczepnego, szczęśliwi, jeśli ich ktoś zaraz od rozmowy oderwie, odwoła, zajmie. Trudno nie odczuć, iż się samą swoją rażącą bezczynnością i bezużyteczną obecnością przeszkadza.

— No, to po co przychodzić — powie nieuważny czytelnik.

Otóż to właśnie. Spróbuj nie przyjść, jeśli cię znają, choć trochę cenią, lub... potrzebują. Spróbuj, a zaraz się przekonasz, co o tobie nie tylko pomyślą, ale i powiedzą. Że ci się w głowie przewróciło, że nawet się nie pofatygujesz, że lekceważysz ich wysiłek, pracę, talent, sztukę. Rzecz zupełnie naturalna. Bo życie aktora, czy w ogóle artysty, nie jest równaniem matematycznym, nie składa się z samych syllogizmów.

Żadnego więc nie będzie zrozumienia dla twej delikatności, skromności, powagi i poszanowania ich pracy. Przeszkadzasz, ale jesteś niezbędny. Więc chcąc nie chcąc idziesz za kulisy. Ba, nawet jedziesz do np. teatru, jeśliś wojskowy i teatr jest wojskowy, i latami omija o dobre kilkaset

kilometrów twoje własne mp. A jeśli raz nabiorą do ciebie choć trochę zaufania, pomimo twojej zawodowej niewdzięczności — jeśli nie daj Boże jesteś recenzentem — to witają cię chętnie, serdecznie, goszczą, dopuszczają nawet do pewnej konfidencji, uraczą swym kunsztem, dadzą zajrzeć za te swoje tajemnicze kulisy, i odpowiadają wreszcie zapraszając na następny raz.

I piszącemu się to zdarzyło, gdy po prawie półtorarocznej przerwie, rozszedłszy się z Teatrem Dramatycznym 2. Korpusu jeszcze w Petah-Tikwie, przyszło mu spotkać się znowu z tym zespołem gdzieś we Włoszech.

Gdy tam, w Palestynie, był to niby folwark skupiony dokoła starej sali kinowej małego miasteczka — najstarszej kolonii żydowskiej — tu, na Półwyspie Apenińskim, stanowi już jakby cały klucz folwarków rozrzuconych po małym, historycznym miasteczku włoskim, miejscu urodzenia wielkiego poety-pesymisty Leopardiego. Postawmy kropkę nad i: w Recanati. A gdy zaledwie przejdiesz pod łukiem bramy miejskiej, przebitej w murze okalającym dawny gród, przeciskając się wąską ulicą między domami, kościołem i jakimś gmachem publicznym — już natrafisz na całą kolekcję drogowskazów.

Tu „Do biura Teatru Dramatycznego”, tam „Kasyno Teatru Dramatycznego”, ówdzie „Do teatru”. Rzekłbyś cały garnizon teatralny rozlokowany niczem taka mała brygada niepancerna, ze swoim własnym Town-Majorem (nota bene w spódnicy), oddziałem gospodarczym, kwatermistrzostwem... przepraszam... kwaterunkowym i kwaterami. Tyle chyba, że bez własnej żandarmerii, ale nie bez własnego taboru samochodowego i... dekoracyjnego. Niebrak nawet autobusu do przewożenia personelu artystycznego na widowiska do oddziałów wojskowych. Polygon mieści się w miejskim gmachu teatralnym, rodzaju miniaturowego gmachu operowego, jak na prowincjonalne miasteczko wcale zasobnego.

A wszystko ma tu swój koloryt lokalny. Kasyno i kuchnia mieszczą się w starym dominikańskim budynku poklasztornym z charakterystycznym czworokątnym podwórzem, otoczonym arkadowym gankiem w renesansowym stylu. W dużym refektarzu pożywiają się i odpoczywają berentowskie igrce w mundurach żołnierskich, a jeśli świeżo przybyłe z niewoli lub kraju — jeszcze w cywilnych kapotach. Ustawionym w podkowę stołom prezyduje kierowniczka teatru i jego kierownik artystyczny w otoczeniu gości. Nastroju niczym nie umniejsza fakt, iż część gmachu zaj-

muje więzienie, przytykające do klasztoru i kościoła.

Niejedna kwatery mieści się w pięknym pałacu i na własne oczy zobaczyć można mniej lub bardziej połowe łóżka porozstawiane w salach portretowych włoskich rodzin książęcych lub tylko hrabiowskich, których antenaci nie bez zdziwienia, choć bez słowa protestu, patrzą na tych przybyszów, wędrowników z dalekich krain,

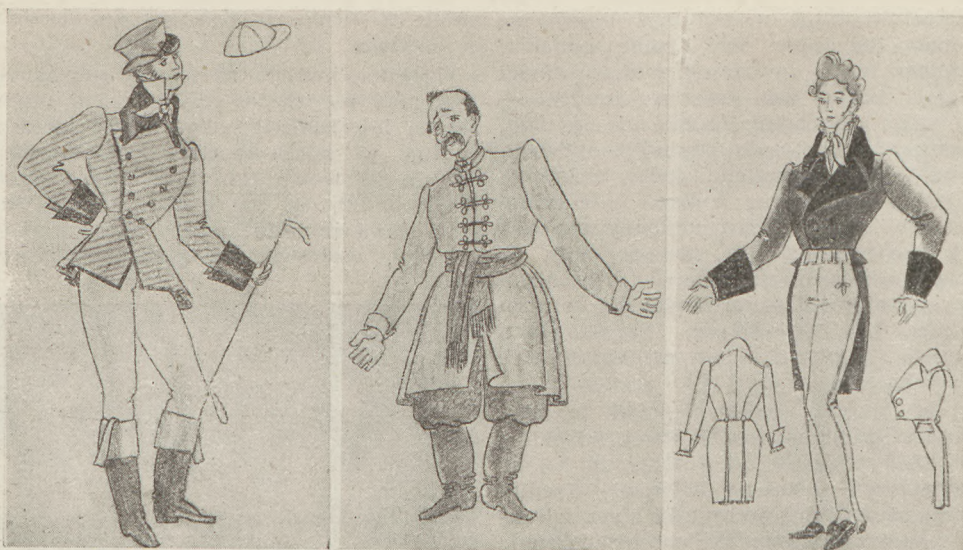


Podwórze dawnego klasztoru dominikańskiego — obecnie kasyno i świetlica Teatru Dramatycznego (Fot. A. Romański)

raz po raz jeszcze przemycających arabskie słowa między zwroty wypowiedziane w najczystszy języku Danta czy Petrarcki.

Inna z tych kwatery mieści się znów w pałacowym mieszkaniu obwieszonym kotarami, niby zygmontowska komora zamkowa, w której rozgrywała się niegdyś miłość i tragedia Barbary Radziwiłłówny. Traf chciał, iż była to właśnie kwatery aktorki, która tę rolę sobie szczególnie umiowała. Oto mieliśmy tu nowy przykład tego, jak sztuka nagina do siebie otaczającą rzeczywistość.

Nie skończylibyśmy nigdy tego myszko-



„Śluby panińskie” A. Fredry w Teatrze Dramatycznym 2. Korpusu
Makiety kostiumów Gustawa i Jana wg. projektu Tadeusza Orłowicza

wania po tak szeroko pojętych zakątkach kulis teatralnych, gdybyśmy chcieli wspomnieć o każdej kwaterze, w której dane nam było zagościć. Były i najskromniejsze, niby mansardy, jak ta u zagrypionej adeptki, był i zaciszny salonik u dekoratora, i był najnowocześniejszy apartamencik u niestarej, a dawnej koleżanki z kraju. A wszystkie te kwatery równała pod jeden strychulec zewsząd rozciągająca się wielka, przestrzenna, spokojna panorama — na stoki okolicznych pagórków, na ogrody i zagrody, na sąsiednie miasteczka i na wszędzie łagodnie pofalowany horyzont.

Wspomnieć jednak wypada nieco więcej o jednej kwaterze, która mieściła w sobie to, co można by nazwać matematycznym zwojem mózgowym teatru, jego ofiarne biuro statystyczne, referat sprawozdawczy, a jednocześnie rachunkowość, tę racjonalną podstawę bytu wszelkiej instytucji co najmniej samowystarczalnej. Aby nie urazić skromności własnej tego „zwoju” i nie umniejszyć anonimowego charakteru służby, zachowany wszelką dyskrecję, tak jak w stosunku do wszystkich innych członków zespołu teatralnego w tym sprawozdaniu, jak też i co do samej osoby ten zwój reprezentującej.

Za pochwałą bez pochlebstw niech posłuży fakt, że w oka mgnienia, w tyle czasu, ile go trzeba na przewertowanie odpowiedniego zeszytu notatek, można było mieć dane o działalności teatru za okres do przedostatniego miesiąca włącznie. Zsumowany, zbilansowany, zamknięty.

Przemilczymy też, ile to niedospianych nocy kosztuje taka wygoda, precyzja i nowoczesność. Pionierzy w tej dziedzinie nie darmo zwykli chleb jadać.

W tabele same zaczęły układać się terminy rozciągnięte na przestrzeni dwóch i pół lat, cały tuzin różnych premier, po kilkadziesiąt przedstawień każdego widowiska, co dało ich do końca 1945 r. bite cztery setki z liczbą widzów sięgającą ni mniej ni więcej, tylko ćwierć miliona. A wszystko to doskonale zbilansowane. Więc koszty—dochodami ze skromnych opłat za bilety wejściowe, zamrożonymi we wzrastającym majątku ruchomym teatru i samochodach, agregatach, reflektorach, dekoracjach, kostiumach, akcesoriach, materiałach, kotarach, kurtynach, kto by tam to wszystko zliczyć potrafił... bez książki materiałowej?

Tak wygląda przeszłość. A jaka przyszłość maluje się przed nami? Czego się nie zdążyło dowiedzieć na kwatery, tego się można przy wspólnym stole napatrzeć. Tu reżyser i tam reżyser i tu znów aktor-reżyser w jednej osobie. A z dekoratorów — jeden odszedł do innego zespołu, a dwóch nowych przybyło z odmiennych krańców świata. Tam grupka młodzieży — to adepci, żądni wiedzy i pracy, po długiej niewoli, okupacji czy uwięzieniu. Tu znów nowe siły, dojrzałe, ambitne i...powabne, a wśród nowych i starych garść przyjaciół, którzy wytrwali i przetrzymali wszelkie przemiany, reorganizacje i usprawnienia. I tych

coraz trudniej zrazić jakimikolwiek niedociągnięciami, brakami, małostkami. Bo gdzież ich nie ma? A zadania się wciąż mnożą i narastają.

Z jednego zespołu wydzielono już dwa, równolegle pracujące, niczym dwa plutony w kompanii. Przy nich powstać ma studium dla adeptów. Reżyserowie i dekoratorzy pracować będą równocześnie ze swymi zespołami, „na dwie i na cztery ręce”. Z warsztatu zeszły ostatnio „Śluby pańskie” Fredry, po których pójdzie Szekspira „Wiele hałasu o nic” i może Wyspiańskiego „Zygmunt”. Dawny repertuar się na gwałt odświeżyło, by dalej szedł. Więc Ligonია „Wesele na Górnym Śląsku” i „Turandot” Gozziego. Coś z tego wszystkiego raz wreszcie trzeba będzie pokazać w Rzymie naszej kolonii cywilnej i wojskowej oraz Włochom miłośnikom teatru, skupionym dookoła Akademii Sztuki Dramatycznej. Również z czymś z poprzedniego repertuaru, bodaj z „Zemstą” Fredry, trzeba będzie raz wreszcie zawitać do swoich, stęsknionych żywego słowa ze sceny, tam hel daleko na północ, dokąd tylko się da już dziś zajechać. Bo dotychczas działający na tym terenie teatr się rozpada, rozjeżdża, rozwiązuje.

Tymczasem, na miejscu, w teatrze grodowym Leopardiego, można było ujrzeć premierę „Mirandoliny” (La Locandiera) Goldoniego. Potem przyszła kolej na „Śluby” Fredry. Z tym dorobkiem rozjeżdżał się ostatnio teatr po mp. różnych oddziałów, niby na nowe pozycje i nawet święta nie zdołały tego rozpędu na dłużej zatrzymać.

Coś przebąkauje się, że do pracy scenicznej i pedagogicznej dołączyć się ma praca wydawnicza pod redakcją kierownictwa ogólnego i artystycznego. A to zarówno może być pożyteczne dla widzów, jak i dla adeptów. Monografie z tekstami wystawianych sztuk, poprzedzone wstępami

literackimi i uzupełnione uwagami reżyserskimi o samej inscenizacji, z recenzjami, re-produkcjami scen i makiet dekoracji i kostiumów. Pracy nie ma kresu, projektom nie ma końca. A potrzeby rosną, póki rośniemy w siły.

Zapada wreszcie któryś wieczór pobytu za tymi rozległymi kulisami, bodaj trzeci i ostatni. Zgrane grono zbiera się w pobliskiej oberży, czy traktierni, jakby „Pod gęsią nóżką”. Wielki piec z szynkwasem zachodzi aż na środek sali. Zapachy lechące powonienie i podniebienie hulają ponad drewnianymi stołami, na których zjawiają się nieodzowne karafki wina, sery, przekąski. Odgrzewają się pieczenie, a przy pieczeniach przyjaźnie.

Rozmowy w oparach i kłębach dymu prowadzone odbiegają od spraw teatralnych, zawodowych, służby i pracy. I przenoszą daleko w przeszłość. A jak tam było z wami w Kraju w roku 1940, 1943, i ostatnio po powstaniu w 1945? A gdzieście byli w tym czasie, jak to wyglądało w Iraku, Palestynie, Egipcie? Wino pobudza krążenie krwi. Wesołość miesza się z chwitami zastanowienia nad losami tych, którzy odeszli. Potem znów wraca rozgwar ogólny, pieśń i uśmiech znów biorą górę. Gorąco, ociężałość i podniecenie.

Młode Akaczki od starego Zelwera przekomarzają się z wiarusem z pustyni o wyglądzie naiwnego amanta i temperamentie... Sułkowskiego. Kulisy się dziwnie wydłużają. Idą w dal, idą w głąb, idą za siebie. Świat zdaje się cały w nich mieścić. I powloką się już za nami w pamięci, gdziekolwiek nas wiatr poniesie. Z jawy przeniosą się w sen. Jakże wielkimi potrafią być te kulisy. Czy serca starczy, aby je pomieścić? A tak łatwo w nich się zgubić, wlecieć w zapadnię, zaplątać w liny, i nawet taką kulisę można niechcąc przewrócić...

On

NOWELA

Golbina

Co roku czekamy wiosny. I poprzednich zim i tej innej, inaczej strasznej, pierwszej, jaką spędzamy w obozie. Zima wydaje się nam tak nie do przejrzenia i tak nie do przeżycia, że następująca po niej wiosna jest poza najdalszym kresem czasu i wytrzymałości i dlatego musi, napewno przynieść odmianę.

— Byle do wiosny — szepczą sobie starszki-sztrykerinki *) dłubiąc całymi dniami iagrowe pończochy, z szorstkiej, szarej wełny. Po bloku hula wiatr. Grabieją

*) Starsze kobiety, mające za zadanie robienie pończoch.

starcze dłonie, druty migają w nich ostrym, zimnym błyskiem, jak sople lodu.

Znowu było mniej kartofli na obiad. A ledwie miesiąc temu transport sztrykerinek, jako niezdolnych do pracy wyjechał w „nieznane”. Daleko, bardzo daleko jest do wiosny.

Tymczasem sny, a zwłaszcza piątkowe, są o wiele wiarygodniejszym źródłem wiadomości od niemieckich, z rzadka przedostających się gazet. Są pod Stalingradem? To nie ważne. Sni się wszystkim łąka zielona i chleb na pięć części. Wiadomo, maj jest piątym miesiącem. Któżby wątpił.

Byłe do wiosny. A co nocy zima przypiera dużo baraków śnieżystymi zaspami. Z dachu, we framugach nieszczelnych drzwi wiszą sople lodu. Nim stopnieją do rana w ciepłe naszych oddechów, przyszywają płuca zimnem i ostrym jak igła kaszlem.

Nam zima stanowczo trudniejsza przypadła w udziale. Mimo grozy niedawnego transportu zazdrościmy sztrykerinkom. Siedzą cały dzień na bloku, gdy nam, leśnej kolumnie, wiatr sypie w oczy tumanami śniegu.

— Noc wygoni, noc przygoni — narzekła śpiąca opodal Golbina. Gdyż gwiazdy tkwią jeszcze wyraziście na niebie, gdy nas wypędza syrena przeciągłym wyciem na poranny apel.

Z nas wszystkich Golbina najmniej się tu zmieniła. Znamy się jeszcze z więzienia. Siedzi za jakieś błahe kontyngentowe niedopatrzanie. Jej twarz, okrągła i czerstwa, nie nosi jeszcze żadnych śladów dwuletniego przeszło zamknięcia. W sztywnych, lagrowych pasiakach nosi się równie zamasyście i szeroko, jak w swoich suto fałdowanych spódnicach „od Buska”. I tak samo, jak w celi pińczowskiego więzienia żegna się co rano pobożnie (ten znak krzyża szeroki, śmiały obserwuję z dziwnym uczuciem, bo przecież w powietrzu drga jeszcze i wibruje szatański chichot syreny) i tak samo, splatając siwy już mocno, chudziutki warkoczek, wyrzeka na swego Golbę.

— Bogdaj go połomiło, bogdaj zczeczł, kiedy o niej nie pamięta, na jej majątku przecie siedząc, jej ojcowiznę marnując.

Dla Golbiny Piaski Wielkie są równie bliskie teraz, jak z pińczowskiego więzienia. Cóż prostszego, jak konie zaprząć, bochen chleba w płótno zaszyć i żonie podać do więziennej bramy? Co sobotę, gdy

był dzień przyjmowania paczek, wystawała przy drzwiach celi, nad słuchując każdego odgłosu. Na próżno. Ślepej cygance i to cyganie kradzione kury przysyłały. O każdym ktoś pamiętał. O niej, ani nawet mąż rodzony.

A przecież tam za domem rozpościerała się szeroko dolina Nidy. Latem widać było jak wiatr gwałcił ku ziemi ciężkie od chleba złote kłosy. A za tym polem, w bok od tego lasu — otóż i Piaski Wielkie. Od drzwi, zamkniętych na głucho, do zakratowanych okien, z których było widać prawie że jej, Golbiny, zagrodę, chodziła bez ustanku.

Tutaj nie ma krat ani drzwi. Gdy wychodzimy z rana za mury, najeżone kolczastym drutem, widać swobodną przestrzeń, lasy na lekko falujących wzgórzach, jeziora, rzeki. Ale nie widać, mój Boże, ani śnić o zobaczeniu Piasków Wielkich.

Mimo to żal Golbiny do męża jest dziś równie świeży i dojmujący, jak przed rokiem.

— Może nie mógł — próbuję tłumaczyć.

— Wszyscy mogli, a on jeden nie — odburkuje. A o ślepej cygance mogli cyganie pamiętać?

Gospodyni, największa, najdotatniejsza z całej wsi, musiała walczyć z oczami, by nie wydzieraty chleba nędznej, ślepej cygance, którą by pewnie psami wyszczuła, gdyby jej do chaty zaszła.

Golbina nie może tego przeboleć. Nie może zrozumieć, że dzieła nas światy — może na zawsze, od piaseckich bochnów chleba, wielkich jak stół, a nawet od pińczowskiego więzienia, skąd widać było, wspiąwszy się do okna, Nidę i dojrzałe latem zboże. Do którego dziś tęskni się także.

Mimo wiecznego narzekania, wiecznego zafrasowania niepojętą, nie do przebaczenia niedbałością mężowską, Golbina daje sobie najlepiej radę. Gałęzie, choćby i najgrubsze pniaki bez wysiłku zarzuca na wóz. Jej przywykłe do pracy ręce najsprawniej kierują dyszlem. Zabiera się do tej pracy po swojemu, po piasecku, jest przy niej w dalszym ciągu sobą, gospodynią, nie tak jak my, gnące się pod ładą ciężarem, przez przymus tej pracy tracące resztkę tego, co istniało przecież kiedyś poza numerem, naszytym na kurtce.

Golbina ma jeszcze jedną pozazdrosczenia godną umiejętność. Zawsze wypatrzy

pod śniegiem jakąś na pół zmarzniętą brukiew, zgubioną przez kuchenne wozy, lub ziemniaka, którego chrupie na surowo, sprytnie wymigując się oczom dozorczyń. Wieczorem wyprawia się na kuchenne odpadki. Zawsze jej się udaje, a mimo to stale głodna, najgłodniejsza.

Gdy chrupie wieczorem żółte, żylaste głąby, muszę odwracać oczy. Jak kiedyś ona od ślepej cyganki.

— Byle do wiosny — marzy Golbina głośno, gdy ciągniemy razem dyszel nalożowanego drzewem wozu. Wrócić, na swoje. A jego wygnam — zaczyna się po swojemu. Za mój głód, za ten chleb, co go łaknę...

Ziarnisty, mokry śnieg lepi się w potężne kule u drewnianych chodaków. Wiatr od jeziora zacina, przegania po lodzie kłęby śniegu i dmie nam prosto w twarz.

Po obu stronach drogi las. Rozłożyste kepy meklembskich wrzosów liliowieją i teraz nieznacznie spod śniegu. Brzozy tułają się do siebie. Jak u nas. A jednak inaczej.

Czas mamy odmierzony wozami. Do południa sześć. Po południu pięć. Mimo to dzień wlecze się, potykając, jak i my, na podbitych śniegiem chodakach. Ileż potrwa, zanim cienie zasinieją od lasu. Wracamy dopiero ze zmierzchem.

Mężczyźni nad jeziorem także mają ciężką pracę. Nie osłania ich żadne drzewo od mrozących oddech porywów wiatru. Z daleka widać jak mocują się z wiatrem równie, jak z ciężarem przetaczanych beli. W długich, pasiastych szynelach, w okrągłych czapkach podobni są wszyscy do siebie z przygarbienia ramion, z chwiejnego kroku ludzi głodnych i bitych.

Nie wolno nam ani spojrzeć w tamtą stronę, gdy skrzypiąc i chwiejąc się na boku przejeżdża nasz wóz koło jeziora. Gdy mija nas kolumna mężczyzn — haeflingów musimy przystanąć i odwrócić się tyłem do drogi, aż przejdą. Dozorczyń ze zdwojoną czujnością strzeże każdego ruchu. Pies szaleje, wyrывa się ze smyczy, rozdrażniony nienawistnym zapachem przegwanej zwierzyny.

Golbinie udało się dzisiaj znówu. Chowa w fartuch znalezioną przy rowie marchew. Czerwona, olbrzymia leżała przy rowie i nikt nie śmiał schylić się po nią. Nie tają zazdrości wszystkie spojrzenia. Tej się wiedzie!

Ale w Golbinie marchew budzi nową falę żalu. Czuję upokorzenie — więc ona może myśleć jeszcze o tamtych czasach, gdy ja myślę już tylko o czerwonej, jakże na pewno soczystej marchwi, ukrytej u niej za fartuchem...

Nie takie to marchwie rodziły się u niej w ogrodzie. Co tydzień jeździła do Buska... Harowała całe życie. A mąż za całą wdzięczność kawałka chleba poskapił.

Czerwona, okrągła twarz kurczy się w siatkę drobnych zmarszczek. Szczególnie koło oczu robi ich się tyle, że Golbina musi szybko, coraz szybciej mrugać powiekami, by nie popłynęły łzy. Siwy, kusy warkoczek wysuwa się spod chustki.

Tak, z nas wszystkich Golbina najmniej się zmieniła. Pamięta wszystko. Ja nie pamiętam niczego. Niczego. Niczego mi nie żal. Jestem zmęczona. I czemu nie nachyliłam się pierwsza po tę marchew? Widziałam przecież doskonale, jak się czerwieni na brzegu drogi...

Mechanicznie odwracam się twarzą do lasu, kiedy mijają nas znowu piątki mężczyzn. Nad słuchuję, jak skrzypią ich buty w tężejącym pod wieczór mrozie. Pierwsi idą śmiało i pewnie.

— Pewno Niemcy — myślę niechętnie. U nich, tak samo jak u nas. Niemcy w czerwonych opaskach anweisungów doskonale sobie żyją, wyzyskując pogardzanych obcych. Nawet odepchnięci przez swój reżim nie przestają być Herrenvolkiem nizin.

Ostatni, najsłabsi potykają się na śniegu, kogoś prowadzą. Jęczy. Po polsku — płacząc rytm marszu. Na końcu pewno słyszę wyraźnie: — Boże, Boże...

I nagle ktoś krzyczy przeszywającym ostrym głosem. Pies szaleje, zanoszą się ujadaniem.

Strzał przecina wszystko.

I nim zdołałam zrozumieć, widzę zszarzałą, pomarszczoną twarz Golbiny i otwarte do krzyku jej usta. Leży na śniegu. Pies — olbrzym, kudłaty wilczur, szarpie jeszcze jej rozdartą na piersiach kurtkę.

Verflucht nochmal — klnie obrzydliwie dozorczyń. Za zakrętem ginie kolumna mężczyzn. Przy ostatnim, najsłabszym, którego prowadzą koledzy, idzie esesman z najeżonym karabinem.

Wypadła zza fartucha marchew czerwieni się mocno na śniegu.

Zofia Górską

SPIS TREŚCI

Wilno — Lwów	Józef Piłsudski	Str.	3
Program demokracji polskiej	Rada Jedności Narodowej	»	4
Analiza umowy w Jałcie w sprawach Dalekiego Wschodu	Ignacy Małuszewski	»	5
Dla kogo pracuje czas?	N. X.	»	9
Przebudowa ustroju rolnego	Tadeusz Krawczyk	»	12
Organizacja przemysłu w Polsce	Antoni H.	»	15
Niemiecki problem narodowościowy w Polsce	Wojciech Hałicki	»	20
Zadania polskiej emigracji politycznej	Zygmunt Rusinek	»	22
Dziennik podróży do Austrii i Niemiec	Paweł Hostowiec	»	23
Oblicze ideowe komunizmu greckiego	Michał Janiszewski	»	26
Sowietyzacja cerkwi rosyjskiej	„Socjalistycznej Wiestnik”	»	29
Dwie piosenki	Bolesław Kobrzyński	»	31
Były premier i czerwony kapturek	K. P. M.	»	32
W pracowni literatów polskich	Bronisław Przytuś i Józef Bujnowski	»	34
„	Bronisław Przytuś	»	35
Pamiętniki J. Paul-Boncoura	Józef Ursyn	»	35
Podstęp „sztuki użytkowej”	Krzysztof Jeleński	»	37
Księżyc i Wenus	Józef Bujnowski	»	39
Zjazd pisarzy polskich w Rzymie i utworze- nie oddziału Pen-Clubu		»	40
Brzask	Artur Międzyrzecki	»	41
Trzy dni za kulisami	O n	»	41
Golbina	Zofia Górka	»	45

Okładka — Aleksander Werner



